

# małdodrze

WIELKA GÓRA 29 XI — 12 XII 1987 R.  
ROK XXI NR 24 [655] CENA 20 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



## POSEŁ

Regina Dacówna

Wszyscy są z niego dumni — i rodzina, i Lisia Góra, i kierownictwo pegeeru, bo to sąsiad przecież, a najbardziej chyba Michał Wolański, naczelnik miasta i gminy w Jasieniu.

Od 1945 roku nikt stąd nie posłował, teraz naczelnik jedzie na naradę wojewódzką a tam koledzy pytają: — Stary, ten poseł jest z Jasienia? Owszem, z Jasienia, odpowiada, i nie można powiedzieć, jest mu przyjemnie, bo to przecież także awans dla miejscowej władzy. W pewnym sensie.

Na początku był szok, zaskoczenie, lu dzie przecierali oczy ze zdumienia gdy zobaczyli nazwisko Dembowskiego na afiszach. Po wyborach naczelnik spodziwał się trudności.

— Wie pani jak jest, ludziom przewraca się w głowie, gdy dorwają się do stołka. A jemu nie się nie poprzewracało. W naszym środowisku nikt nawet nie odczuwa, że on jest posem. Z każdym rozmawia normalnie, powie — Cześć, cześć, i niech pani sobie wyobrazi, że on do niedawna był wozakiem, wozził mleko do mleczarni. A jego żona pracowała w zlewni.

Naczelnik zachęca, bym odwiedziła Lisia Górę. Zobaczą zarysy domu, jakiego chyba w życiu nie widziałam. W ścianach same łuki — wszystko jest w łukach i okna, i drzwi, i antresola — jednym słowem pięknie jak w kościele.

— I basen w środku ma być, słowo honoru — mówi naczelnik — widziałem projekt.

Jasień nie jest wielką gminą — siedemnaście wsi, większość na wymarcu, dwadzieścia tysięcy hektarów, piąta i szósta klasa gruntów, ostatnio trzech rolników spod Bielska-Białej objęli trzy duże gospodarstwa, po osiemdziesiąt pięć hektarów każde, naczelnikowi kamień spadł z serca. Skurczył się obszar ziemi niechcianej, ci trzech wprowadzili nową krew.

Ale nie do nich naczelnik wozł wojewodę, sekretarza czy konsula radzieckiego, tylko wprost do Dembowskiego.

Jest się kim pochwalić. Jedyny prawdziwy rolnik w Lisiej Górze.

— ★ —

Poseł Zdzisław Dembowski ma trzydzieści lat a jego brat Piotr, dwadzieścia dziewięć. Zdzisław od dziecka był chorowity, szczupły, matka powtarzała:

— Musisz iść do miasta, poszukasz lżejszej roboty, wiesz nie dla ciebie.

Zupełnie inny był Piotr — krzepki, zdrowy. Tak, ten się nadawał na wieś. Więc Zdzisław poszedł do zawodówki kształcić się na elektryka, a Piotr, do technikum rolniczego w Gubinie, by zostać rolnikiem, chociaż i Piotrowi rodzice mówili: — wiesz to ciężki kawałek chleba.

Obaj bracia różnią się do dziś nie tylko urodą.

— Praca w rolnictwie to moje hobby

— Gdyby zabrakło ci na chleb, szybko byś zrezygnował z tego — hobby — dodaje Piotr i od razu widać, że bracia mają zupełnie inne doświadczenia życiowe.

Piotr. Skończył szkołę, wrócił do Lisiej Góry, rodzice przepisali mu prawie sześć hektarów, poszli do państwowej pracy — matka do pegeeru, ojciec, już rencista... na stróża do „Ochrony Mienia”.

— Miałem dwadzieścia lat — opowiada Piotr. Zostałem sam. Pomogła mi gmina i bank. Dobrałem ziemi do dziesięciu hektarów, dostałem kredyty, kupiłem stary ciągnik po kasacji, cały osprzęt i dwadzieścia owiec. Zadużyłem się na sto czterdzieści tysięcy — ogromna suma w latach siedemdziesiątych. I miałem owce, plugi, przyczepę, ciągnik, strasznie dużo pracy i ani grosza w kieszeni. Wiodę życie pustelnika — tu nie ma żadnej rozrywki, żadnego towarzystwa jak w szkole, ja nie mam ani pieniędzy ani czasu żeby gdzieś wykoszczyć. Od rana do nocy harówka.

Ojciec ostrzegł mnie, że rozłożę się na owcach. Zaczęły chorować, częściej zaczęły sprządać, reszta padła. Sprzedaż pokryła mi osiemdziesiąt procent kosztów zakupu. Zniechęciłem się do gospodarstwa. Sprzedałem wszystkie maszyny, rozliczyłem się z bankiem. Z likwidacji gospodarstwa zostało mi dwadzieścia tysięcy. Poszedłem do pegeeru. Zupelnie inaczej wyglądała praca w pegeerze, do piętnastej, najpóźniej do siedemnastej, a nie do ciemnej nocy jak u siebie.

Od razu został brygadystą polowym, z pensją pięć siedemset miesięcznie. Już się nie musiał ani tak spieszyć ani denerwować, pojechał na jedno pole, pojechał na drugie.

— Po drodze kupiłem sobie kiełbaske, rozpalilem ognisko, podpiekłem, mama

wracała o trzeciej, ja o piątej, obiad był, pieniądze były, fajnie było.

A pegeer? Czy musiał wychodzić na swoje? Wtedy nie musiał. Miał zagospodarować ziemię i wypłacić pensję. Przecież nikt nie pytał o zysk.

Zdzisław. Pojechał na Śląsk. Ale ani Śląsk, ani hotel robotniczy, ani nie musiał tam nie podobało, chociaż miał przecież sukces — jako dwudziestoletni brygadysta na budowie Huty „Katowice”. Ale nawet jak był tym brygadystą to — jak mówi — nie miał żadnych możliwości wypowiedzenia własnego zdania, od razu słyszał, że za młody, albo, że zbuntowany.

— Zarabiałem dobrze, siedem tysięcy bez żadnego wysiłku. To mnie frustrowało, bo ja chciałem się wysilić, ale jak się tylko wysiliłem od razu wychodziłem na lizusa. Ojciec pracował tyle lat w tartaku, dźwigał kłocę i za ciężką harówkę dostawał tylko trzy tysiące. No, jaka to sprawiedliwość? — myślałem.

Ożenił się z chłopką, rodzice Anny mieli trzy hektary w Częstochowskim. Więcej ziemi dobrać nie było skąd. A Zdzisław ciągnął na wieś. Obrabiał u teściów te trzy hektary, dojeżdżał do pracy, był chłoporobotnikiem. Na Wielką noc 1981 roku przyjechali oboje do Lisiej Góry. Akurat na przepustce z wojska był Piotr. Przy stole wielkanocnym urządzili, że tu zostaną.

Piotr bez żalu secedował na brata prze-pisane mu przez rodziców zabudowania i dwa hektary gruntu. Jemu się nie po-wiodło, niech się szczęści Zdzisławowi. Jest doświadczony, ma wtedy dwadzieścia pięć lat, żonę, może sobie poradzić?

— ★ —

Zaczeli dobierać ziemię. Właśnie pegeer zrezygnował z dwudziestu pięciu hektarów.

— Wylączyłem z pegeeru najgorsze piaski i dałem im — powie mi potem Józef Wojciechowski, urzędnik w gminie — po tych dwudziestu pięciu dostali znowu piachy, najgorsze ziemię, a teraz spotykam posła na schodach i mówię — panie Zdzisławie, ziemia poszła w dobre ręce, bo widzę jaką tam produkcję. Co roku dobierali po kilkanaście hektarów, bo „nie można chapać od razu stu hektarów, łatwo się nimi udławić”.

1981 rok, w Polsce powszechny kryzys a Zdzisławowi udaje się załatwić w sklepie cztery wiadra. Wiadra potrzebne są pilnie pegeerowi, który hoduje świnię, Dembowski odstępuje je więc wspólnie z Karwowskiemu z pegeeru i za te wiadra pegeer pomaga mu kombinem przy żniwach.

Ciąg dalszy na str. 4

## Aby gminy były mocne

Lucyna Grabowska

Decentralizacja — jedno z najczęściej powtarzanych hasel reformy — dla „góry” oznacza pozbycie się części praw i obowiązków, dla „dolu” przyjęcie na swoje barki nowych problemów. Czy ten „dół”, konkretnie gmina, w obecnym wydaniu będzie mógł sprostać zadaniom, jakie niesie II etap reformy gospodarczej?

Dziś nie można jeszcze precyzyjnie powiedzieć, jakie dziedziny ulegną decentralizacji. Decydować będzie praktyka. Z grubsza już wiadomo, że będzie to cała sfera socjalna, oświata, kultura, zdrowie, realizacja zadań inwestycyjno-reformacyjnych. W gestii samorządów te rytorialnych musi się znaleźć wszystko to, co służy społeczności lokalnym. Gospodarz terenu, rada narodowa, wie przecież najlepiej, co jest dobre dla obywateli, których reprezentuje.

Na różnych piętrach administracji państwowej mówi się z naciskiem: musimy doprowadzić do rzeczywistego umocnienia jednostek podstawowych, czyli gmin. Pod każdym względem. Docelowo mają to być jednostki sprawne i kompetentnie obsługujące obywateli, dysponujące szerszymi niż dotychczas środkami prawnymi, organizacyjnymi i materialnymi. W przygotowywanej noweli Ustawy o Systemie Rad Narodowych i Samorządu Terytorialnego mówi się o zapewnieniu samodzielności finansowej rad narodowych. Rady w nowym wydaniu będą mogły gromadzić środki dla rozwiązywania problemów własnego terenu. A więc od ich inicjatywy zależeć będzie rzeczywista siła.

W nowej sytuacji rada zamiast debatać nad pytaniem: skąd wziąć pieniądze, na, dajmy na to, przedszkole, klub, świetlicę, będzie szukała takich rozwiązań, które w efekcie powinny przysporzyć jej materialnych środków.

Takie poczynania już można zaobserwować w prężnych ośrodkach, które nie czekając na lepsze czasy, podejmują lub wspierają rodzące się inicjatywy. Oto gmina Siedlec, charakteryzująca się wysoko rozwiniętym rolnictwem i sporą ilością hodowców zwierząt futerkowych. Myśli się tutaj o utworzeniu wspólnej dla tych hodowców garbarni i zakładu futrzarskiego. Gdyby takie przedsiębiorstwa powstały, będą w przyszłości partycypować w rozwoju swojej gminy.

Ale obok gmin prężnych, mogących w każdej chwili złapać w zagle sprzyjający wiatr, mamy w województwie zielonogórskim sporo gmin małych o niewielkiej obsadzie kadrowej, liczącej 17, 18, 19 urzędników, którzy muszą zajmować się tysiącem spraw. Urzędnik państwowy powinien znać się na problemach, z którymi do urzędu przychodzi obywatel. Czy kompetentnym urzędnikiem może być referent mający w swojej gestii kulturę, handel i jeszcze inne dziedziny nieraz krańcowo różne? W małych gminach takimi referentami często są młodziutki panienki, świeżo upieczone maturzystki.

Słabym gminom pod nawiałem tego wszystkiego, co przyniesie decentralizacja, grozi jeszcze większe osłabienie.

Nadeszła pora, by pomyśleć o przemo-dowaniu podstawowych ogniw administracji, by wszystkie bez wyjątku wraz z większymi uprawnieniami posiadały dostateczną, kompetentną kadre. Jak to zrobić?

Dziś nie można odgórnie decyzyjnie rozwiązać najmniejszej nawet gminy. Nie można też nakazać żadnej radzie narodowej, by połączyła się z sąsiednią mocniejszą jednostką. Każda rada decyduje sama o sobie. A która rada ze chce, ot tak nagle, oddać na własnym terenie władzę komuś innemu?

Życie jednak pokazuje, że nie zawsze to, co jest blisko i co jest widać, funkcjonuje jak należy.

Szansą dla małych gmin byłoby połączenie ich z mocniejszymi ośrodkami. Ale o wykorzystaniu tej szansy mogą zdecydować same rady.

Póki co wylania się inna szansa wzmożenia. Jest nią projekt (nieudługo wejdzie w życie) rozparządzenia Rady Ministrów w sprawie określenia rodzajów spraw, które terenowe organy administracji państwowej mogą powierzać do prowadzenia kierownikom państwowych przedsiębiorstw i instytucji podporządkowanych radzie narodowej. Mówiąc inaczej: wojewoda, prezydent, naczelnik będzie miał prawo cedowania swoich uprawnień na innych.

Ciąg dalszy na str. 5



# Opinie i refleksje

## NOWE MYŚLENIE I PRZEBUDOWA

Jest to książka także o tym, co dzieje się w Związku Radzieckim, do czego zmierzają wielkie, socjalistyczne mocarstwo przeżyjące nieprzewidywaną jeszcze przed kilkudziesięciu miesiącami przebudowę w każdej dziedzinie życia. Michał Gorbaczow niczego w swej publikacji nie ukrywa i dlatego staje się wiarygodny. Wiarygodny nie tylko dla sympatyków, myślę, że także dla swych oponentów i przeciwników. Są pierwsze, pisze on, rezultaty przebudowy. Ale zaraz zaznacza, że „nie obeszło się jednak bez przeoczeń i błędów”. Przebudowa dopiero się zaczęła. Jej droga będzie długa i niełatwa. Program przebudowy, dzieło na miarę historyczną w zasięgu kilku pokoleń, powstaje w polemikach, w dyskusjach uczestniczą setki tysięcy ludzi. Po wieloletnim zastoiu, bierności, pozornej, sztucznej jednomyślności w każdej, nawet najdrobniejszej sprawie, patosie nic nie wnoszącym do rzeczy, „społeczeństwo ruszyło z miejsca. Najważniejsze, że przebudowa stała się rzeczywistością, że wciągnęła w swą orbitę szerokie masy obywateli”!

M. Gorbaczow ujawnia, że XXVII zjazd radzieckiej partii komunistycznej można było odrzucić. Były takie propozycje. Lata zastoiu obserwowane w ZSRR nie tylko przez jego wrogów, równieź przyjaciół, poraziły wszystkich. Od uczyli samodzielnego, na własną odpowiedzialność, myślenia. Ale dla nowego radzieckiego przywódcy i jego współpracowników czasu nie było. Bo jeśli nie teraz, to kiedy?

Pierestrojka to nie tylko przebudowa gospodarcza, społeczna, to równocześnie przebudowa myślenia, świadomości ludzi. Ta spójność, jedność dla Gorbaczowa jest najważniejsza. Wyeksponowana została w tytule książki: „Przebudowa i nowe myślenie”. Socjalizm najtrudniej buduje się w świadomości ludzkiej, która najczęściej preferuje stany zachowawcze, konserwatywne. Wszelka inność z ogromnym trudem zdobywa sobie prawo obywatelstwa. Książka M. Gorbaczowa ma świetne, publicystyczne fragmenty. „...wielu działaczy kierowniczych różnego szczebla, jak się to mówi, usadzało aktywnych zwolenników przebudowy, ostrzegawczo uspokajając „nabytą” wymagających entuzjastów: poczekajcie, towarzyste, nie gorczycie się na przód, za rok — dwa wszystko się ułoży. Byli naprawdę przekonani, że wszystko ułoży się na swoje miejsce, jak już to niejednokrotnie dawniej bywało”.

Bywało i szybko się kończyło. Co jest gwarantem, zapytuje Gorbaczow, że stare się nie powtórzy? I odpowiada, że rozwój demokracji. Jawność, szczerze, że poglądy, krytyka i samokrytyka, aktywność obywateli w rządzeniu krajem, samodzielność, a więc to wszystko co składa się na pojęcie socjalistycznej demokracji. „Im więcej socjalistycznej demokracji, tym więcej socjalizmu”.

Gorbaczow przypomina, że w Rydze powiedział do robotników: „trudności, trudności, ale jeśli będziecie się tylko interesować tym, co tam, na górze” a nie uruchomicie własnych rezerw to przebudowa będzie buksować, hamować, okazywać się polowiczną”. W procesie przebudowy zmienia się myślenie człowieka. Był wpływa na świadomość, ale i świadomość na byt. Każdy może się zmienić. Nikomu nie wolno odbierać prawa do tej zmiany. Gorbaczow wierzy w swój naród. Kierownictwo radzieckie — wynika to jednoznacznie również z tej książki, z drogi przebudowy nie zejść. „Żywa twórczość mas to decydująca siła przebudowy. Innej potężnej siły nie ma”.

Książka Gorbaczowa wydana niemal równocześnie w USA i ZSRR adresowana jest do czytelników na całym świecie. Entuzjastów i przeciwników nowej radzieckiej polityki wewnętrznej i zagranicznej. Argumentacja, sposób przekonywania, pozyskiwania sobie czytelni, Gorbaczow przypomina Lenina. Jest to książka — argument w sporach nie tylko o jutro Związku Radzieckiego, socjalizmu ale całego jednego tylko świata, który poprzez rozwój techniki, cywilizacji niepoimnie się skurczył. Książka radzieckiego przywódcy, napisana zresztą z inicjatywy amerykańskich wydawców, to znakomity prolog do najbliższych rozmów Gorbaczow — Reagan.

JACEK WOCH

## BYĆ ALBO NIE BYĆ

W 1985 r. społeczeństwo polskie wydało na alkohol 733 miliardy zł, co stanowi 35 proc. funduszy przeznaczonych w budżetach rodzinnych na żywność! Oprócz tego kupiliśmy wódkę za 114 milionów dolarów, co przewyższa dwukrotnie wysokość kwoty, którą w Pewe kście wydaliśmy na żywność!

Mimo deklarowanych ograniczeń alkohol jest przerażająco dostępny. W br jest czynnych w Polsce 29 tys. punktów sprzedających trunki mocne i 44 tys. punktów serwujących napoje o zawartości do 4,5 proc. alkoholu. Średnio na 523 obywateli przypada jedno miejsce, gdzie legalnie w majestacie przepisów można kupić alkohol.

Na VI Krajowym Zjeździe Społecznego Komitetu Przeciwalkoholowego (obrad odbyły się w Warszawie w dniach 11 i 12 listopada br.) delegaci po raz kolejny zastanawiali się nad zwalczaniem pijaństwa, postulowali i domagali się bezkompromisowej walki z tą plagą, która nie maleje, ale wręcz rozrasta się.

Warto zacytować przewodnią myśl zjazdu: „Trzeźwość jako norma moralna.

obywatelska jest warunkiem uzyskania postępu w rozwiązywaniu problemów społecznych i gospodarczych, przed którymi stoi nasz kraj. Powstrzymanie niesłabnącej od lat fali pijaństwa podmywającej fundamenty bytu narodu, państwa i poszczególnych obywateli jest zadaniem, którego wykonanie — w nie mniejszym stopniu jak przedsięwzięcia reformatorskie podejmowane w innych dziedzinach — zdecyduje o naszym „być albo nie być”.

Najgroźniejszymi przejawami pijaństwa są: picie w miejscu i czasie pracy; zagrożenie dla bytu rodziny, a szczególnie zdrowia, rozwoju fizycznego i psychicznego i przyszłości dzieci; wulgaryzacja obyczajów, obniżenie kultury życia, ograniczenie aspiracji i celów życiowych, zawężenie potrzeb; bezkrytyczne przejmowanie przez młodzież wzorów pijackiej obyczajowości.

Jak wynika z doświadczeń, dotychczasowa walka z pijaństwem przypomina walenie głową w mur. Wydawało się, że dobrym orężem będzie ustawa antyalkoholowa. Ustawa jest, owszem, dobra —

stwierdzali na zjeździe działacze SKP, ale nie jest konsekwentnie realizowana. Dopóki alkohol będzie w planach zaopatrzenia rynku, dopóki będzie traktowany jak każdy inny towar — dopóty wszyscy skie zainteresowane wytwarzaniem i sprzedażą trunków firmy będą dążyć do zwiększenia ich ilości na rynku.

## Z REGIONU

Na zjeździe postulowano wydzielenie z budżetu państwa wpływów z produkcji i obrotu alkoholem, co powinno zapobiec nadmiernej fiskalizacji tej działalności.

W toku reformowania gospodarki w kierunku usamodzielnienia podmiotów gospodarczych państwo musi zapewnić sobie narzędzia prawne i ekonomiczne gwarantujące realizację jego polityki wobec alkoholu.

Najwyższa pora, by zdecydowanie przejąć błędne koło pijaństwa, stwierdzano na zjeździe. Mimo deklaracji, krzykliwych haseł, spektakularnych akcji, to nam się nie udaje. Ale są przykłady (szkoda, że nie u nas), że pijaństwo można zwalczyć i to szybko. Z uznaniem zjazd SKP

przyjął wystąpienie przedstawiciela Związku Radzieckiego (w obradach brał udział także przedstawiciel innych krajów), który mówił o bezkompromisowej walce swojego państwa z tą plagą. W ZSRR udało się powstrzymać zalewa nie kraju i obywateli wódką poprzez sprężenie wszystkich środków karnych i administracyjnych. I są już widoczne efekty.

A u nas? W kuliach zjazdu tak ko mentowano wystąpienie sąsiada zza Buga: mamy w Polsce bardzo dobrą ustawę antyalkoholową, która wzorowo jest realizowana w Związku Radzieckim.

Z tego też trzeba wyciągnąć wnioski. Zjazd domagał się także by w kształtowaniu i realizacji polityki kadrowej przestrzegać wymogu zachowania trzeźwości publicznej od nauczycieli i wychowawców, pracowników służby zdrowia, organów porządku publicznego i wymiaru sprawiedliwości oraz w stosunku do kadry kierowniczej organów władzy i administracji państwowej oraz gospodarczej, a także organizacji i stowarzyszeń.

W wybranym na zjeździe Zarządzie Głównym SKP znalazło się dwóch działaczy z woj. zielonogórskiego: mgr Marian Flaum i Henryk Kowalski.

LG

## Zaodra

### Łużycki fenomen

Łużycanie (Serbowie łużyccy) — to najmniejszy naród słowiański mieszkający na terenie Łużyc, w okręgach Dreżno i Cottbus (Chociebuż), to pozostałość Słowian polskich. Mimo germanizacji zachowali swój język, kulturę i obyczaje narodowe. Rozwój ich kultury sztuki przypada na wiek XIX i był sposobem na przetrwanie. Wiek XIX zaznaczył się w Niemczech rozkwitem przemysłu wydobywczego i ciężkiego, co spowodowało odpływ ludności wiejskiej do miast, powstawanie proletariatu, a tak że napływ Niemców na Łużycę. Czynili te z jednej strony sprzyjały germanizacji narodu łużyckiego, z drugiej zaś mobilizowały szczególnie inteligencję łużycką do walki o swój język. W tym to wieku poczęła się rozwijać nie tyle nauka łużycka, ile literatura i ta — twórcy, jak Handrij Zejler, Jan Arnost Smoler czy Jakub Bart Ciśniski weszli na trwałe do historii literatury europejskiej.

Dorobkowi myślowemu tego ostatniego co poświęcona była sesja naukowa zorganizowana przez Instytut Filologii Polskiej zielonogórskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Łużycki Instytut Kultury Nauczycieli w Budziszynie. Jakub Bart Ciśniski należał do klasyków literatury łużyckiej, napisał 184 sonety, wydał 15 zbiorów wierszy, pierwszy dramat narodowy „Na hrodzišcu” tłumaczył utwory A. Mickiewicza, był redaktorem czasopism „Łužica” i „Lipa Serbska”. Był księdzem rzymskokatolickim. Wiele jego liryków patriotycznych i baład przełożono na język polski.

Referaty podczas sesji wygłosili: prof. dr hab. Antoni Furdal z Uniwersytetu Wrocławskiego, zielonogórzanin; doc. dr hab. Jerzy Brzeziński, dr Adam Demarlin, mgr Paweł Suder oraz Łużycanie Jurij Nuk i Reinhard Janetz. Sesja spotkała się z dość dużym zainteresowaniem pracowników naukowych i studentów WSP, a także regionalistów z całego środkowego Nadodra. Dotąd zagadnienie łużyckiej kultury, historii, współczesności podejmowali działacze PTTK, towarzystw kulturalnych z Lubka i Zar, rzadziej Zielonej Góry. Dobrze więc się stało, że pracownicy naukowcy WSP tym sprawom poświęcili trochę miejsca. Materiały z sesji zostaną opublikowane w specjalnym zeszycie, który wzbogaci naszą wiedzę o bratnim narodzie.

AS

### Komunizm czy socjalizm

#### naukowy?

Ostatni numer biuletynu informacyjnego Akademii Nauk Społecznych przy KC NSPJ ukazał się nie pod dotychczasowym tytułem WISSENSCHAFTLICHER KOMMUNISMUS (Komunizm naukowy), lecz WISSENSCHAFTLICHER SOZIALISMUS (Socjalizm naukowy). Równocześnie dotychczasowy przedmiot na wyższych uczelniach — „komunizm naukowy”, na który program studiów przeznaczano 90 godzin lekcyjnych, został przemianowany na „socjalizm naukowy”. Obok filozofii i ekonomii politycznej stanowi on trzeci filar przedmiotu studiów znanego jako podstawy marksizmu-leninizmu.

Oficjalnie nie podano żadnego wytłumaczenia tej zmiany. Jedyną mglistą wzmiankę można spotkać w numerze 4 z 1987 r. czasopisma DEUTSCHE ZEITSCHRIFT FÜR PHILOSOPHIE, gdzie czytamy, że po zmianach programu nauczania marksizmu-leninizmu na uczelniach nazwy przedmiotów nauczania nie są absolutnie identyczne z nazwami tych dyscyplin naukowych. Celem i zucenia pewnego światła na powyższą sprawę przypomnijmy, że w okresie, gdy na czele NRD stał Walter Ulbricht, przedmiot ten, który został bardzo rozbudowany, nazywał się „socjalizm naukowy”. Przemianowano go na komunizm naukowy po objęciu najwyższej funkcji w NSPJ przez Ericha Honckera, czyli nazwa została jak gdyby dostosowana do terminologii obowiązującej w Związku Radzieckim. Obecnie przywrócono dawną nazwę. Dokonało się to na mocy decyzji Sekretariatu KC NSPJ z połowy 1986 r. w sprawie zmiany programu nauczania marksizmu-leninizmu, formalnie zapoczątkowanego we wrześniu 1986 r.

(x)

### Zabiegi o kredyt

W prasie zachodniemieckiej i zachodniobermberskiej coraz więcej pisze się na temat starań NRD o nowe kredyty dewizowe. Podkreśla się, że chodzi tym razem o co najmniej miliardową pożyczkę. Rzecznik rządu federalnego Friedrich Ost zdemontował niedawno doniesienia prasowe na temat rzekomych rokowań NRD i RFN w sprawie ewentualnej pożyczki w wysokości 4 mld marek zachodnich dla NRD, jednak kwestia ta nie znikła z lamów gazet. Wiąże się to niewątpliwie z oświadczeniem członka Biura Politycznego, sekretarza KC NSPJ Guentera Mittaga, który w czasie spotkania Ericha Honckera z przemysłowcami RFN w Kolonii na początku września br. stwierdził, iż w obliczu międzynarodowej konkurencji NRD potrzebuje nowych inwestycji łącznej wartości 70 mld marek, by móc utrzymać swą produkcję na światowym poziomie.

DIE WELT z 31 października zamieściła kolejną informację na temat zabiegów NRD w sprawie miliardowego kredytu na Zachodzie: na początku września br. rozpoznanie w tej sprawie prowadził również pełnomocnik NRD w Luksemburgu. Według cytowanego przez DIE WELT profesora uniwersytetu w Kilonii, Wolfganga Seiffera, stan zadłużenia NRD w bankach Republiki Federalnej na dzień 30 czerwca br. osiągnął 10 mld marek RFN. Do tego dochodzą pożyczki zaciągnięte w innych krajach Europy Zachodniej oraz Ameryki. Jest więc zrozumiałe, iż sama obsługa odsetek, nie mówiąc już o spłacie zaciągniętych kredytów, wymaga szybkiego rozwoju eksportu NRD. Da się to uzyskać jedynie poprzez modernizację bazy produkcyjnej.

(x)

## ZALABA

### Rocznica nocy

#### kryształowej

Uczczono pamięć ofiar „nocy kryształowej”, która wydarzyła się 9 listopada 1938 r. Burmistrz — szef Związku na Zachodzie, Eberhard Diepgen (CDU) oświadczył, że „ta noc terroru mogła nastąpić, gdyż wcześniej wznieśliśmy w sercach i umysłach ludzi duchowy mur”. Zabrakło odpowiedzialności za

społeczeństwo jako całość. Również dziś odważa cywilna „nie należy do cnot naj częściej występujących”. Przewodniczący gminy żydowskiej w Berlinie Zachodnim, Heinz Galiński, wystąpił o zorganizowanie w przyszłym roku w tym mieście, w 50 rocznicę pogromu Żydów, centralnej uroczystości dla upamiętnienia ofiar. Zwrócił uwagę, że w Berlinie znajdował się ośrodek władzy narodowych socjalistów oraz największa gmina żydowska w Niemczech. Nowy rabin gminy żydowskiej w NRD, Isaac Neumann, oświadczył w związku z 49 rocznicą „nocy kryształowej”, że „ta noc okrucieństwa i strachu” jest symbolem drogi cierpienia, która dla 6 milionów Żydów zakończyła się męczenną śmiercią w Auschwitzu i Treblince. W wywiadzie dla BERLINER ZEITUNG rabin podkreślił, że spośród 170 tys. Żydów zamieszkałych w Niemczech w Berlinie, „tylko w samych faszystowskich obozach zagłady straciło życie ponad 50 tys.”. 9 listopada 1938 r., gdy niszczone synagogi i żydowskie sklepy, zbyt mało ludzi w Niemczech udzielało Żydom pomocy, inaczej było np. w Bułgarii czy Danii.

(x)

### Czy kryzys w Kościele

#### ewangelickim?

Zmniejsza się liczba członków 17 kościołów zrzeszonych w Kościele Ewangelickim w Niemczech — EKD. Jak wynika z opublikowanej „Statystyki życia kościelnego” EKD, w końcu 1985 r. w Republice Federalnej i w Berlinie Zachodnim żyło około 25,1 mln ewangelickich chrześcijan. Jest to o 210 tys. czyli 0,8 proc. mniej niż w roku poprzednim. Udział ewangelików w społeczeństwie RFN i Berlina Zachodniego zmniejszył się o 3 proc. do 44,4 proc. Jeszcze w 1970 r. ewangelicy stanowili 48,9 proc. społeczeństwa.

Liczba wystąpień z Kościoła ewangelickiego jest ponownie wyraźnie większa od liczby zgłoszeń. W 1985 r. z kościołów zrzeszonych w EKD wystąpiło 140 tys. osób (w 1984 r. 127 tys.). W poczet członków przyjęto natomiast w 1985 r. 38.414 osób (w 1984 r. 38.242). Według EKD liczba wystąpień z kościołów ewangelickich jest obecnie wprawdzie znacznie mniejsza niż w 1974 r., kiedy to zanotowano rekordową liczbę 218 tys., lecz znacznie wyższa niż na po

czątku lat sześćdziesiątych (niespełna 40 tys.).

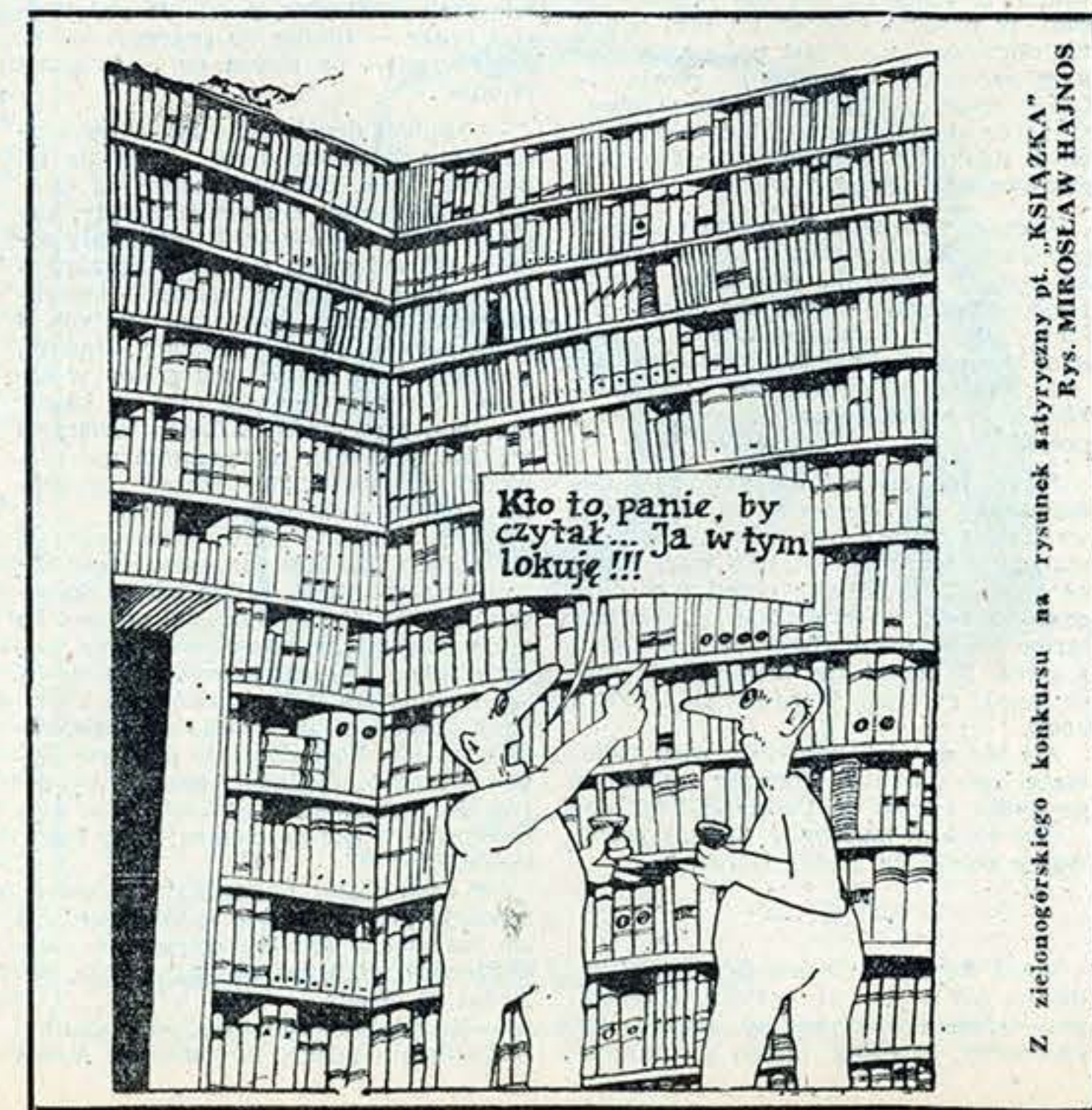
(x)

### Złodzieje są wszędzie

Policja Zachodniego Berlina nie może natrafić na ślad złodziei, których wczyn poruszył całe miasto. Krótko po północy prof. Heckelmann, rektor zachodniobermberskiego uniwersytetu pracował jeszcze w swym domowym gabinecie. Nagle usłyszał: „Tylko spokojnie, nie ruszaj się bo będę strzelać”. Mówiącego nie widział, ale poczuł na karku lufę pistoletu. W przeciągu kilku minut dwóch zamaskowanych osobników związało profesora i zalepiło mu usta przy lepcem. Po czym spłądowali mieszkanie, zabrali i zapakowali łup, i tak cicho jak weszli uciekli z mieszkania przez uchylone okno. Odjeżdżali stojącym przed domem mercedesem rektora, któremu zabrali kluczyki do wozu. Na padnięty zdołał ułowić jedną rękę, zerwał przylepiec i zaalarmować 20-letnią córkę, która spała w jednym z pokoi i niczego nie słyszała.

Policja stwierdziła, że napastnicy weszli przez uchylone okno po 5-metrowej drabinie. Okno wcześniej otworzył sam profesor, żeby wywietrzyć gabinet. Był tak zajęty pracą naukową przy użyciu komputera, że niczego do momentu zaatakowania nie usłyszał. Stwierdza, że napastnikom nie stawiał oporu, aby ich nie prowokować i stosował się do ich żądań. Jak dotąd, nie znaleziono śladu napastników ani luksusowego samochodu rektora. Ten zaś nie chce ujawnić wysokości poniesionej straty, która — zdaniem policji — jest pewnie niemała, gdyż rektor Heckelmann należy do najbogatszych mieszkańców Berlina Zachodniego. Jeden z dzienników zachodniobermberskich uważa, że nie ma się czemu dziwić, jeżeli podano do wiadomości publicznej że Urząd Kancelarski w Bonn do dziś nie może doliczyć się strat powstałych wskutek kradzieży podczas garten-party wydanego przez kanclerza Khola kilka tygodni temu. W trakcie imprezy, w której udział wzięli wyłącznie członkowie przedstawicielstwa środowisk kulturalnych, społecznych i gospodarczych, zgineło m.in. 35 ozdobnych drzewek laurowych, cały kontener 350 butelek szampana, miedziane naczynia, krzesła, stoliki, kieliszki, ogromne sery.

(tema)



Z zielonogórskiego konkursu na rysunek satyryczny pt. „KSIĄZKA” Rys. MIROSLAW HAJNOS



**N**a pozór wszystko jest jak dawniej. Ale tylko na pozór. Krechowice jest kierownikiem świetlicy wiejskiej w Krzepielowie. Potrafi przez wodzie, lecz ma wrogów, i to wielu, a osoba jego otoczona jest mgiełką plotek, oskarżeń, zjadliwych domysłów. Młodzież, nie cała, darzy go zaufaniem i sympatią. Ma nadal pozytywną opinię w Urzędzie Miasta i Gminy. Nie stracił zaufania miejsko-gminny władz ZSL. Ceni go dyrektor Sławskiego Ośrodka Kultury.

Michał Krechowice, zasłużony działacz kulturalny i ludowy, skończył sześćdziesiąty siodmy rok życia. Nie dorobił się ani fiacika, ani koczucha, ani konta w banku. Ma splachetek ziemi, stary domek podwórkiem. Powinien przejść na emeryturę. Żyby spokojnie i długo.

— Czy pan wie, że Krechowice podałono? — Zaskoczył mnie dyrektor Eugeniusz Kowalski, on musiał to zauważyć, bo natychmiast wyjaśnił: — Nie, jego dom, lecz świetlica. Zniszczyły się stroje zespołu.

Michała Krechowca zapamiętałem jako to męczące wyprostowane, energiczne, wesołe, takiego, co to, gdy wyrzuci go drzwiami, wraca oknem. A teraz widzę człowieka zmierzającego, o twarzy pozbawionej, nerwowo odpalającego klubowego od klubowego.

— Wczoraj zgłosiłem naczelnikowi, że

wiatowej Rady Narodowej, jeździł na akademie do Wschowy, słuchał radia, czytał gazety. W Polsce centralnej folklor ciagle żył, na ziemiach zachodnich artyści ludowi taiti swoje umiejętności, wstydzi się sąsiadów, wszak sztuka ludowa nie pasowała do nowoczesności kolektywizowanej. Gdyby Krechowice był nauczycielem, pewnie wiedziałby, kogo poprosić o pomoc, nikt by mu nie odmówił, ale on pracował jako młynarz. Więc kiedy tylko zwołniało się miejsce w szkole, został woźnym.

Od 1956 roku zespół krzepielowski występuje w całej Polsce i za granicą. Brał udział w dożynkach centralnych, wojewódzkich i powiatowych, uczestniczył w korowodzie winobranowym, reprezentował Polskę w Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Pieśni i Tańca. Tańczył podczas wielu akademii pierwszomajowych, lipcowych, październikowych. Zawsze za darmo. Zdarzało się, że częstowano ich bułkami z kielbasą i oranżadą.

— W NRD byliśmy aż sześć razy — przypomina sobie Krechowice i wyciąga na okopcony stół kronikę działalności zespołu. Pokazuje listy gratulacyjne, dyplomy, puchary. — Odnaka honorowa „Za zasługi w rozwoju województwa zielonogórskiego”. Złote Odnaczenie im. Janka Krasickiego. Przez pewien czas byliśmy zespołem ZMW — dodaje.

i folklorowi Ziemi Lubuskiej, w którym jest rozmiłowany i który jest jego pasją życiową. Dodaje Rada, że Krechowice był radnym PRN, ławnikiem sądu, kuratorem społecznym, skarbnikiem Społecznego Komitetu Budowy Szkoły. „Zawsze ze swej pracy wywiązywał się niezwykle sumiennie i wzorowo oraz uczciwie”. Ma Krzyż Kawalerski, Medal Rodła, Lubuską Nagrodę Kulturalną. Zebrał dokumenty do wielkiego muzeum, które już było czynne, gdyby nie to, że świetlica się nadpała.

— U nas nie ma żadnej organizacji młodzieżowej. Kiedy pojechalismy z wyprawami na Święto Młodości do Sławy powiedziano, że jesteśmy zespołem ZSMP. Potem byliśmy na Dożynkach Młodzieżowych w Trzebiechowie, przedstawili nas jako zespół ZMW. A tak na prawdę nikt się nami nie interesuje.

— Musimy założyć koło LZS — wtrąca dyrektor Kowalski.

— Macie pieniądze na koszulki? Kupicie piłkę? A kto pokryje koszty wyjazdu na mecze?

Dyrektor Kowalski zwiesił głowę i milczy. Gdybym miał pieniądze, założyłbym i LZS, i ZMW albo ZSMP. Młodzież na szta jest dobra, ale trzeba jej pomóc. Wielu dojeżdża do huty w Głogowie, widzą, co mają ludzie w mieście, jak wypoczywają, co robią w klubach. Nasza młodzież też chce żyć inaczej... Kiedyś dyrektor Prus dał starego żuka, jak się cieszyliśmy! Wyremontowaliśmy go za własne pieniądze. Teraz trzeba oddać go do kapitalnego remontu. Za co? Nas nie stać na wyłożenie pół miliona złotych. Kto pomoże? Gmina?... Jeśli sami sobie nie pomożemy, na nikogo nie możemy liczyć.

— Dostaliście 400 tysięcy złotych z Urzędu Wojewódzkiego — przypomina dyrektor Kowalski.

— Czy pan wie, że strój krakowski dla dziecka kosztuje 20 tysięcy złotych? A ja potrzebuję 12 strojów krakowskich i 12 lubuskich.

Od samego początku Zespół Pieśni i Tańca w Krzepielowie ma samorząd, ale, prawdę mówiąc, najważniejszą władzą jest kierownik czyli Michał Krechowice, nazywany „Dziadkiem”. Młodzież przychodzi do zespołu, potanęca kilka lat, poznają Polskę, i odchodzą — dzie wczeta za mąż, chłopcy do wojska. Krechowice zostaje. Znowu kształci, kupuje stroje, martwi się, gdzie zdobyć pieniądze, by starczyło na opłacenie dojazdów instruktorów i na benzynę do żuka.

Nie on pierwszy wymyślił, że najwięcej można zarobić na miejscu, podczas zabaw tanecznych. Bufet musi być obfity, zaopatrzone, orkiestra doborowa, między głęboką studzienką a czarnymi oczami walc czekoladowy, potem kotylio nowy, około północy białe tango, i znowu walc czekoladowy. Podpici mężczy-

To jest już inny człowiek, z jego twarzy zniknęło zmęczenie, nie ma czasu zapalić klubowego, ciągle mówi o te społe, a kiedy mówi, cieszy się, zapomina o pożarze, o karze, o emeryturze.

— Tylko Dąbrowka jest starsza od nas. Oni powstałi jeszcze przed wojną. Ale o nas napisano aż sześć prac magisterskich.

W Krzepielowie są już dwa zespoły folklorystyczne — dorosły i dziecięcy, w których śpiewa i tańczy 58 osób. Gru-



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

pą dziecięcą opiekują się Henryk Mądry, absolwent zielonogórskiego studium choreograficznego. 26 lat choreografem zespołu dorosłych była Alina Cieśliska, dojeżdżała aż z Sulechowa, prawie 60 kilometrów w jedną stronę. Urząd Miasta i Gminy płacił jej za pracę, zaś zespół refundował koszty dojazdu. Gdy Krechowice prosił naczelnika o pomoc finansową, zawsze słyszał, że gmina nie ma pieniędzy.

— To miałem rozwiązać zespół? Po tylu latach pracy machnąć na kulturę? Ten zespół jest moim życiem.

Rada Solecka twierdzi, że „Michał Krechowice jest człowiekiem, który całe swoje życie poświęcił nam, mieszkańcom naszej wsi oraz kulturze wiejskiej

żni wykupują nawet batony kakaowe. Rano, gdy ostatnie pary wychodzą ze świetlicy, kasa zawsze pełna. Za dwa tygodnie kolejna zabawa. Starca na zakup strojów, opłacenie dojazdów choreografki, na nagrody dla dzieci.

Od kiedy obowiązuje ustawa o wychowaniu w trzeźwości, zabawa jest mniej i dochody mniejsze. Po trzeźwemu nie wielu kupuje batony, landrynki, andruty. Zdarza się, że w drodze wyjątku Urząd Wojewódzki zezwala urządzić zabawy alkoholowe, lecz wtedy trzeba by kupić pozwolenie, a prowadzenie bufetu powierzyć gastronomii spółdzielczej.

— My płacimy za pozwolenie, zysk z bufetu zabiera gees. Co to za interes dla nas? — buntuje się Krechowice.

Jan Plaskoń

## Aktualności

**Franz Kafka nie umarł**  
Zapis w księdze zgonów sanatorium Kierling jest znową optymistów

**Franz Kafka żyje**  
Można go spotkać w koloniach karnych na obrzeżach współczesnych osiedli. Albo w mrocznych korytarzach wieżowców gdzie kryją twarz w dłoniach oczekując rewizji wyroku w sprawie Józefa K. Albo w naszych mieszkaniach gdzie za naszym biurkiem pisze sprawozdanie dla Akademii Rodzaju Ludzkiego

**Franz Kafka nie umarł**  
Dłatego pamiętajmy o tragicznej przemianie Gregora Samy. Dłatego módlmy się żeby nagle kroki na schodach nie milkły pod naszymi drzwiami



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

W czasie trwania karnawału 1986 roku samorząd zespołu urządził wielką zabawę taneczną w sąsiednim Krąkowie. Milicjanci stwierdzili, że w bufecie sprzedawano nie tylko lemoniadę. A że o pozwolenie na organizowanie zabawy wystąpił w imieniu komitetu organizacyjnego Michał Krechowice, jemu sąd wymierzył karę za sprzedawanie alko-

Gdy zaczął się karnawał 1987 roku, kasa zespołu była pusta. W cepeli leżało zamówienie na stroje ludowe dla zespołu dziecięcego. Za co je kupić? Krechowice podpowiedział, samorząd po stanowił, że trzeba urządzić zabawę bez alkoholową. Organizatorzy złożyli wniosek w Urzędzie Miasta i Gminy, zdobyli wymagane pieczątki i podpisy, po brali z kasy urzędu osteplowane bilety wstępu, wyznaczili odpowiedzialnych za porządek w sali. Ta zabawa, jak i następna, udała się. Do tańca przy grywała orkiestra z Radwanic, najlepsza w okolicy, ludzi przyszło tyle, że zabrakło urzędowych biletów. Organizatorzy postanowili wprowadzić do sprzedaży bilety dodatkowe, osteplowane pieczątką zespołu. Rano samorząd sporządził protokół, w obu przypadkach w dwu wersjach. W jednym wykazywał tylko te bilety, które otrzymał z urzędu, w drugim — wszystkie, czyli urzędowe i własne. Rozliczenie z biletów urzędowych Krechowice złożył w Sławie, a że nie zwracał biletów, nikt nie spytał go o zysk.

— Czy urząd pobiera podatek od sprzedanych biletów? — pytam głównego księgowego Urzędu Miasta i Gminy w Sławie.

— Kiedyś tak. Obecnie zysk w całości jest własnością organizatora zabawy. Im więcej sprzedają biletów, tym większy mają zysk.

— Jaki więc sens ma wykazywanie w protokołach wszelkich wpływów?

— Takie przepisy.

Po zabawie lutowej ktoś powiadomił milicję, że Krechowice zysk z obu zabaw przechowywał w swoim domu. Rozpoczęło się dochodzenie. Krechowice stał oskarżony o to, że będąc upoważnionym do wystawiania dokumentów, poświadczył w nich nieprawdę i podrobił podpis bufetowej.

— Kiedy skończyła się zabawa, bufetowa spieszyła się do domu, gdyż miała chore dziecko. Prosiłem, żeby została, dopóki nie spiszę protokołu. Powiedziała, abym podpisał za nią. — Sądowi Krechowice wyjaśnił: — „Nie dałem waleć sobie sprawy z tego, że popełniłem przestępstwo.”

Pytam, dlaczego nie przedstawił w urzędzie protokołu ze sprzedaży wszystkich biletów.

— Nikt nie żądał tego ode mnie.

— Sądowi powiedział: — „Uważałem, że rozliczamy się tylko z biletów wydanych przez gminę”.

Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by

W Krzepielowie sprzedano wszystkie bilety.

— Ludzie przyszli z Krąkowa, Kotli, Sławy, chyba i z Głogowa. Jeśli ze spół gra po staremu, nikt nie przychodzi. Teraz muzyka musi być taka, jaką nadają w radiu: głośna.

Przed sądem Krechowice nie oskarżał nikogo z samorządu, wszelką winę wziął na siebie, uważając, że jest przede wszystkim wychowawcą.

Zdaniem sądu, zespołowe pieniądze Krechowice powinien przechowywać nie w swoim domu, lecz w banku.

— „Zrobiłem to dlatego, gdyż chciałem mieć pieniądze na zakup strojów dla zespołu dziecięcego. Zespół w Krzepielowie nie ma żadnego dofinansowania z innych źródeł. Urząd w Sławie, kiedy się do nich zwróci, to zawsze mówi, że nie mają pieniędzy.”

Prokurator w akcie oskarżenia napisał: „W prowadzonym postępowaniu przygotowawczym nie ustalono i nie zebrano żadnych dowodów świadczących o tym, aby Michał Krechowice dopuścił się przestępstwa zagarnięcia mienia społecznego w kwocie 90 tysięcy złotych.”

— „Na 90 000 złotych składało się: 63 900 zł jako zysk z biletów i bufetu, 26 100 to zysk ze sprzedanych kotyliionów i gier organizowanych w czasie zabawy” — wyjaśnił sądowi i dodał, że samorząd zdecydował, iż pieniądze mają być przechowywane u niego w domu, a nie w banku. Nie działał samowolnie.

— „Oskarżony jest człowiekiem. Jakiego przez 40 lat pracy nie spotkałem. Zespół jest dla niego całym życiem” — powiedziała sądowi Alina Cieśliska.

Rada Solecka przekonywała, że „Michał Krechowice jest człowiekiem całym sercem oddanym sprawie folkloru, tańca i pieśni ludowej oraz kulturze wiejskiej. W całej swej 41-letniej pracy wiele dróg wydeptał, ażeby zdobyć fundusze na działalność Zespołu Pieśni i Tańca, począwszy od gminy a skończywszy na Ministerstwie Kultury. Zespół zawsze był zdany na własne siły, gdyż nie był jednostką budżetową, a działa przy świetlicy wiejskiej w Krzepielowie i utrzymuje się z własnych wypracowanych przez siebie funduszy.”

— Czuje się pan przegrywający? — spytał, ścisnąc na pożegnanie drobną dłoń Michała Krechowca.

— Mam sześćdziesiąt siedem lat, powinienem już być na emeryturze, a ja jeszcze się uczę. Skoro sąd orzekł, że zawiniłem, to muszę ponieść karę. Nie będę się odwoływał, to nic nie da.

PS. Michałowi Krechowcowi, zasłużonemu działaczowi kultury, sąd wymierzył karę jednego roku ograniczenia wolności i orzekł potrącenie piętnastu procent miesięcznego wynagrodzenia na rzecz Zarządu Miejskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów w Nowej Soli.



# MIEĆ ŻEBY BYĆ

Elżbieta Leńska

Wreszcie ulga! Atmosfera podenerwowania mija wraz z celnikami, którzy opuszczają wagon „Beroliny”. W korytarzu jakby luzniej, stojący przylegają do ścian, kołysząc się w takt jazdy.

— To upokarzające — mówi Jarek, dopinając walizkę. — Dla nich każdy jest potencjalnym przemytnikiem. Nieprawdaż? — zwraca się do mężczyzny, który wpatrzony w okno nadal milczy. — Aleś pan zawzięty. Widzisz Tomek, to my już inne pokolenie. Ze starszymi nie umiemy się dogadać.

Mężczyzna przeciera twarz dłońmi, spogląda na nich, wyraźnie zmęczony.

— A co, może nie miałem racji?

— Nie. To znaczy: niezupełnie. Oczywiście, że nie po to goniliśmy Niemców, by im teraz „czyszczyć buty”, w łaskę do nich iść, to absurd. Ale dawniej taką emigrację nazywano „za chlebem”.

— A co ty, na chleb nie masz?!

— Mam, ale na mniejszy niż kiedyś. I gorszy.

— Patrząc go, jaka emigracja „za chlebem”? — odpala mężczyzna. — A ty sobie wille pewnie...

— Nie, Kwaternkowe na piecie mam.

— Tomek, nie zadzieraj, po co to?

— Jakie „po co”? Twoja wina, żeś się za późno urodził? że nie mogłeś wykreślić wentyla od roweru hitlerowców? Mężczyzna zbladł.

— Okey, okey, pardon... Tu nie chodzi o czyszczenie butów. Przecież nasi jeżdżą też gdzieś indziej i pan o tym dobrze wie. Często ponizają się, fakt, ale te, między innymi, cenne plać świadomie. Średnia przyjemność moczyć ręce w pomyjach w jakimś barze, u nas inżynier, a tam, bracie, nikt. Zero. Nu! Parcie, ciuła, zaciskając zęby i pasa, bo wie za jakie pieniądze. Ważne, że w ogóle wracają, coraz częściej zresztą.

— Częściej? — Mężczyzna sięga do marynarki, wyjmując zwinięty kawałek berlińskiej gazety. — Masz, poczytaj no koledze. Przeglądacz.

— „Regularnie w weekendy na bawarsko-czechosłowackie punkty graniczne zajeżdżają autobusy „Orbisu” z Polski i „Cedok” z Czechosłowacji: po kilku dniach wracają z połową pasażerów (...). Na prezydium Bawarskiej Policji Granicznej w Monachium mówiono o mocno zwyczajowej tendencji statystyki: o ile w 1983 r. pozostało tylko 3 Polaków i 164 Czechosłowaków, to już w następnym roku — 374 Polaków i 212 Czechosłowaków. W tym roku — a to gazeta z czerwca — zarejestrowano odpowiednio 322 i 192 „odkoczaków” (...). Liczby te nie dają odpowiedzi na pytanie, gdzie pojechała się większość z tych prawie 600”.

Ladnie zaokrąglił.

„Okolo 50 prób o azyl polityczny, część złożona wnioski o zezwolenie pobytowe, inni starają się o uznanie ich niemieckiego pochodzenia, a kilku zmierzło dalej na zachód. Jednakże na ogół znikali oni w Bawarii”. No i dalej pisał tu, że ci „odkoczakowic” zarabiała pieniądze „łatwą pracą”, że „od października 1983 na terytorium federalnym zarejestrowano samych Polaków 9717 i do dzisiaj nie jest znane miejsce pobytu 31 procent z nich. Na 10 tysięcy jedynie 219 zawróciło do ojczyzny”. Sekretarz stanu w ministerstwie apelował też o skuteczniejsze tamowanie nielegalnych pobytów.

„Tymczasem — czyta dalej Tomek — osobliwe wartości posiadają niewątpliwie takie meldunki jak ten. Pewna trzyosobowa rodzina czechosłowacka, z tęsknoty i niepokoju o przyszłość, wracała do ojczyzny pieszo, przez punkt graniczny w Wajdhaus. 31-letni mechanik z żoną (25) i synem (5) osiedlił się podczas urlopu w Bawarii, jednak już po dwóch tygodniach w przedstawicielstwie CSRR poprosił o zezwolenie na powrót, które bez trudności otrzymał”.

— Propaganda — podsumował Tomek.

— Pojechał na wczasy i normalnie wraca. „Z powodu tęsknoty”, szlag by...

— Nie taka znowu propaganda. No i jak? — mężczyzna jest ciekaw reakcji Jarka.

— Nie jest chyba tak źle, skoro prace naszych tak cenią za granicą. A że wyganiają? To konkurencja dla bezrobotnych a nie naszym.

— Wolą naszych, powiadasz... Za mojej młodości, w czasie okupacji, też nas woleli. Dzisiaj Berlin Zachodni to mia-

sto starych Niemców. A zarobić chcą wszyscy, także ten kto płaci, więc nie tyle cenią nas, ile szukają.

— Polacy zakładają nawet prywatne interesy.

— Byłem w jednym takim — przerywa Tomek. — Kumpel prosił, żebyśmy przywieźli mu tani dobry mikrokomputer. Okazało się, że mogę ewentualnie poszukać u Chińczyków na targu, ale dostałem adres sklepu, który prowadzi Polacy. Mam ich wizytówkę: „City Computer, A. Patko, Augsburgstrasse” itd. I słuchajcie, co było. Eleganckie, białe, przestronne wnętrza, bardzo „przestronne”, niemal puste półki. Młody facet w garniturku uklonił się, ale gdy mu wyjaśniłem, czego szukam, trochę namigił, bo mógł być Niemcem, „śmieszał się pobłażliwie i po polsku odpowiedział, że mu przykro, lecz oni nie zajmują się takim tanim sprzętem. W tym momencie weszła do sklepu kobieta, pytając o jakiś monitor. On dobrał właściwy uśmiech, pokręcił przecząco głową, ale jeszcze zażył kolegę, czy mogą to sprostować. Tamten: Może za dwa tygodnie, niech kobieta dzwoni. Na to ona: Nie muszę pan tłumaczyć, znam polski. Czy nie można być szybciej? — Niestety ten termin wszędzie obowiązuje. — O nie, nie wszędzie, proszę pana, mam zapewnione gdzieś indziej, że za tydzień, ale bardzo mi pilno. Wy Polacy nie możecie. I nigdy się nie nauczycie”.

Widzisz więc, Jarek, nie tak łatwo prosperować na obcej ziemi.

Mężczyzna odzywa się dopiero po dłuższej chwili:

— Mam syna w waszym wieku, to nie taki miglanc jak wy. W trakcie studiów za bardzo uwierzył, że poprawi świat. Lecz w 83 pozwolili mu wyjechać do Zachodniego. Pracuje u ogrodnika, u niego też wynajmuje mieszkanie. No więc, gdy syn w pracy, chodzę trochę do Berlina i słyszę, co mówią na ulicach. Nie, żebyśmy podsucho na obczyźnie uszytą łanę do polskiego. Wście, to żem jace, szlag mnie trafia, gdy widzę Polaków, co jak nadeje balony, jak pawie paradują i ink domagają się, by im uszytą gwał. A jak demonstracyjnie rozdają napiwki... A inni znowu — hataśliw jakby każdy drobiazgi widzieli pierwszy raz w życiu, tacy zachłanni, tacy... tacy wszedobylscy, włóczą się od targowisk do targowisk za używanymi rzeczami, grzebiąc w sklepach, kantorach z rupieciami... Za to w dużych kaufhalach — cichutko, nanie, skromniutko... Mój syn mówi na nich „śmiesiarze”, może ma rację... A potem opowiadają w Polsce, jak tam wszystko jest „och, ach”. Oczywiście, ukrywając skąd i co mają. „Na Zachodzie byli” a tyle widzieli, co w walizkach. Za grosz honoru...

— Jaki honor, tam ich nikt nie znał — Pan faktycznie jakiś niedzisiejszy. Ważne, że wracają oblawowani i decydują nasz rynek. Jarek, wiesz, że z tych „antykwarycznych” rzeczy można o biedę wyposażyć dom i ubrać się? Jest dosłownie wszystko: popuste nożyce, zegarki, używane lecznicze okulary, nadłuczona porcelana, niepełne paczki jednorazowych serwetek, ale też zdarzają się ciekawa męska biżuteria i prawie nowe ciuchy. Jeśli oni nie wstydzą się sprzedawać, to dlaczego nasi mieliby się wstydzić kuować?

A wiecie, co to jest szkoda? Pewien Żyd polskiego pochodzenia, który z żoną Chinką, handluje biżuterią niedaleko Karstadtu, mówi, że szkoda jest wówczas, gdy Polak przychodzi do niego z czerwonym złotem i chce je opchnąć. Ha, ha! Niemcy wolą przecież białe. A druga szkoda, mawia ten Żyd, to że nie Polacy, lecz Niemcy, którzy wojnę przegrali, żyją lepiej.

— Konkurencji w kraju nam brak. W każdej dziedzinie, ot co. Tak mówi mój syn. A ty — zwraca się do Jarka — zda je się pierwszy raz w Zachodnim? Długo był? — Toś nie nie widział. Teraz tam świętują 750-lecie, sporo można zobaczyć. Mur chociaż widział? — Czasu nie było? Trzeba było popatrzyć jak kolorytowo od napisów i malunków. I te krzyżę obok Reichstagu. Niektóre bezimiennne. A teraz w Reichstagu restauracja, kawiarnia, sterty folderów, historia Niemiec na wystawie... Oczywiście mapy z kolejnymi granicami, fotografie.

— No dobrze, a pana syn — wrócił?

— Jakoś tam z głodu nie umiera. Żenić się chce, ot co.

— Znaczą się emigracja nie czasowa?

„Berolina” zatrzymała się w Zbaszyn ku.

ciąg dalszy ze str. 1

Dembowscy mają wtedy trzy konie, osiem krów, kilkanaście cieląt, żadnego sprzętu. Wstają o trzeciej, jest ciemno, on wiezie trawę dla cieląt, Anna idzie do dojenia. Nie ma kto odwiedzić mleka. Więc on przyjmuje posadę wozaka, jest największym producentem w okolicy, przy okazji zabiera mleko z dwu wsi.

Tymczasem Piotr wrócił z wojska, znowu pracuje w pegeerze, z niepokojem patrzy na brata. Po dwu latach przysię puje do spółki. Obaj wiedzą, że w pojedynkę na tylu hektarach nikt nie podola.

Mają dziś dziewięćdziesiąt hektarów, dwadzieścia trzy krowy, dwadzieścia cieląt, pięćdziesiąt pięć sztuk młodzieży.

— ★ —

Rok przed wyborami Zdzisław powiedział: — Wiesz, będę posłem.

Piotr nie uwierzył.

— Było mało prawdopodobne — opowiada — by normalny chłop został posłem. Poseł, to musi być ktoś. Co najmniej dyrektor, kierownik albo sekretarz. Od dawna nikt tu posła na oczy nie widział.

Więc nawet wtedy, gdy trzy miesiące przed wyborami dowiedział się, że brat kandyduje, nie opuszczała go niewiara.

Piotr mówi, że wcale nie ucieszyli się w rodzinie z wiadomości, że Zdzichu

ważniejszym problemem, jest matka rolnictwa. Bez krów nie ma nic, a krów się nie szanuje. Zdzisław już pytał jednego dziennikarza, jak może być dobrze, skoro o rolnictwie ciągle decydują ci, którzy byli u władzy i za Gomulki, i za Gierka i teraz też mają rację?

— Mam to zapisać?

— Niech pani pisze, co mi zrobią? Za mleko mi mniej zapłacą?

— Przecież pan też jest władzą.

— Tak. Jestem, ustawodawcą. I mam obowiązek rozliczyć władzę wykonawczą. Sfrustrowany nie jestem. Jeszcze czuję się rzecznikiem wyborców, a nie władz. Ludzie to są ludzie, a władza to są władze. Niektórzy mają mi nawet za złe, że tak dzielę.

Jako władza, nie wiadomo czy będzie nią w następnej kadencji, musi się spieszyć. Widzi przecież, że polityka rolna jest chora nie wiadomo, czy krowy, które on tak lubi, będą w łasce u polityków? W następnych latach.

Więc póki jest okazja, postanowił cywilizacyjnie podciągnąć wieś. Jak tylko pegeer zrobił wieżę ciśnienia, zmobilizował mieszkańców Lisiej Góry do czynu społecznego. W rok uporali się z budową wodociągu, teraz woda w kranach jest w każdym domu.

Poseł nie ukrywa, woda najbardziej jemu była potrzebna, dotąd, gdy pokazywało się dno studni, jechał z beczkami do pegeeru.

Do SKR-u przyszedł „Dimeran”, środek do oprysku przeciw miotle zbozo-

— Z tych pieniędzy nie dało się wyżyć, poszedłem stróżować. Żeby dorobić.

Synowie rozprawiają o polityce rolnej, a ojciec spod pleca mówi, że bałby się brać tyle hektarów.

Synowie są młodzi, nie przeżyli obowiązkowych dostaw, nie mają w sobie żadnego lęku, a on pamięta, że już nie raz pęta dla chłopów była przygotowana.

— Nie, nie, ja bym się teraz bał.

— ★ —

Synowie zgromadzili cały sprzęt. Jeszcze brakuje im kombajnu i prasy do słomy. Zdzisław ma „Tarpana” — „Disla”, teraz jako poseł spodziewa się asygnować na „Poloneza”.

Obaj bracia budują domy — Piotr, zwyczajny, typowy w Jasieniu. Zdzisław buduje dom swoich marzeń. Ojciec nie wyobraża sobie jeszcze tego domu, chociaż ściany już stoją. Pochodzą — mówi dla usprawiedliwienia — z rodziny nie uczonej...

Dom będzie okazały. Dach dwuspadowy, powierzchnia czterysta metrów kwadratowych z basenem i oranżerią w środku, z salonem na pięćdziesiąt metrów, w salonie będzie prawdziwy kominek, i jeszcze antresola...

Dom buduje za gotówkę.

Chcę zobaczyć dom z bliska. Ojciec pożyczka mi gumki. Jest wiosna, wszędzie błoto. Idziemy przez obór, którą wybudował ojciec, wchodzimy do nowych obór — tu wszystko na razie robi się ręcznie, widami. W oborze pracują bracia, rodzice i trzech najmowanych ludzi.



Fot. BRONISŁAW BUGIEL

Obok obory na ukończeniu budynek małej zlewni.

Zdzisław nagle mówi: — Ja muszę załatwiać to, co rolnik powinien normalnie kupić.

Ale i tak nie wszystko da się załatwić. Po nawozu trzeba się ustawić w kolejce. Po węgiel także. Wiosną ludzie stali dzień i noc, chociaż była Wielkanoc.

Na pagórku za oborami wchodzimy bocznymi drzwiami (na razie są to otwory w ścianach) do domu. Główne wejście będzie oczywiście od frontu. Są już ścianki działowe, słucham objaśnień — tu będą w salonie schody, stropu nie będzie nad salonem, wszystko podbite boazerią. Nad połową salonu pokój i balkon, tu lusterko się powiesi, tu toaletka i umywalka. A na górze łazienka, garderoba i cztery sypialnie. Tu jadalnia — pod oknem będzie się jadło — a tu jedna kuchnia, w piwnicy druga — gospodarcza. Tu jeden pokój, a od południa mój gabinet — pracownia, tu sien. Te wszystkie łuki w środku zostaną. Na piętrze będą i w szczytach domu także. Ludzie budują dom kwadratowy, wstawiają jeden łuk, co jest bez sensu, a tu będzie wszystko w łukach.

Drzwi z salonu prowadzą na basen. Są już wykopy pod fundament. Basen — taki sobie — pięć dwadzieścia długo na dwa sześćdziesiąt szeroki, pokryty będzie dachem jednospadowym.

Mam wątpliwości — czy basen nie za blisko obory? Tak, to jest błąd w projekcie. Ale zasadzi się ścianę intensywnie zielonej i zasłoni oborę.

— Czy pan widział gdzieś taki dom?

Nie, nie widział. Pozbierał elementy różnych budowli, poskładał w całość — pani Miedzielska zrobiła projekt.

— A basen? Gdzie pan widział basen?

— W kinie. Na filmie...

REGINA DACHOWNA

POSEŁ

przeszedł. Pomyśleli zaraz a kto będzie pracował? Poseł często wyjeżdża, ma do datkowe zajęcia, w państwowym zakładzie ktoś za niego robotę robi, a w gospodarstwie się nie da.

Ale nie jest źle, obmyślają teraz we dwóch projekty zmian w polityce rolnej, Zdzichu przepycha projekty w komisji rolnej, co wcale nie jest łatwe.

Chwała Bogu, że jest uparty. Obaj z Piotrem obmyślili i opisali na przykład projekt ulg kredytowych dla hodowców krów. Chodziło im o to, by kredyt udzielany na budowę np. obory, był niskoprocentowany. Dwa procenty — można wytrzymać. Ale nie dziewięć.

Wybudowali przecież dwie obory, wie dzą jaki to koszt, ile roboty, wszystko się robi metodą chałupniczą, własnymi rękami.

To co napisali, Zdzichu przekazał Ministerstwu Rolnictwa, no i projekt rozporządzenia już został rozesłany do konsultacji, chociaż nie w takiej wersji jak proponowali, ale i tak jest to ogromne osiągnięcie. Brat ma jeszcze drugi sukces — udało mu się dostać do komisji rolnictwa w Sejmie, a był w komisji transportu i łączności.

— A trzeba być posłem — mówi — że by zrozumieć jak trudno się przemieszczać z komisji do komisji.

W Sejmie jest sto osób związanych z rolnictwem. A komisja liczy tylko czterech członków. Trzeba więc mieć znajomości... Rok trwały starania, rok był wolnym słuchaczem w komisji rolnictwa, zabierał głos w dyskusji.

— W końcu udowodniłem, że jestem tam potrzebny. A w macierzystej komisji też uczestniczyłem w posiedzeniach.

Ludziom u władzy, trzeba niestety tłumaczyć czym jest krowa. Otóż jest naj-

wej. Wystarczy go na dwadzieścia cztery hektary. A na całą gminę trzeba by cztery razy tyle. Więc komu SKR opryska? Temu kto ma układy. I tak jest ze wszystkim. Dobrze jest być posłem. Ale staram się tak robić, żeby inni też mieli. Zanim nie przyjdą lata obfitości, nie stety, będzie jak jest.

— Głową muru nie przebijesz — odzywa się nagle Piotr. — Ale może przynajmniej tynek skruszysz?

— ★ —

Pod piecem siedzi ojciec — Edmund, ma pięćdziesiąt sześć lat, słucha i milczy. Do Lisiej Góry przyjechał w 1960 roku, kupił ponad pięć hektarów pola, żeby utrzymać gospodarstwo poszedł do pracy w tartaku.

W Lisiej Górze prawie wszyscy tak robili. Na przykład sołtys Stańkowski Mieczysław, rówieśnik Edmunda Dembowskiego. Do 1977 roku miał siedem hektarów. Radził sobie znakomicie. Siał to co się dało najszybciej zebrać — żyto, owies, trochę ziemniaków. Wracał z tartaku, gdzie razem z Dembowskim dzwigali kłose na placu, i szedł w pole. Wszystko robił nocą i zawsze zdążył na czas. A żona tymczasem pracowała w domu przy krowach i świnich. Czego się dorobił? Trójki dzieci. Żadne nie chce gospodarzi.

Edmund Dembowski powiada: — Na gospodarce dorobiłem się żyłaków. Chciał to właśnie on jeden na wsi zarządzić, i wziął czterdziestu tysięcy pożyczki, by zbudować oborę, cała Lisia Góra się śmiała, bo przecież było tak ciężko, i skąd wziąć pieniądze na spłatę kredytu?

Ale Dembowski postawił budynek. Było w nim miejsce na cztery krowy, na dwa konie i klatki na trzy świnie.

W 1979 roku przepisał gospodarstwo na Piotra. Dostał tysiąc czterysta złotych renty.



# Aby gminy były mocne

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Dla przykładu. Mechanicznie i w zasadzie niepotrzebnie powołano kiedyś w gminach inspektorów oświaty. Z reguły są to nauczyciele, z których zrobiono urzędników, posadzano za biurkiem, zmarnowano ich kwalifikacje. Jeśli w gminie jest szkoła (dawna zbiorcza), to dyrektor tej szkoły wie najlepiej, jaka jest sytuacja oświaty w gminie. Inspektor nie może wiedzieć więcej, ani więcej dla oświaty zrobić. Na mocy wspomnianego rozporządzenia naczelnik gminy będzie mógł sędować uprawnienia inspektora oświaty na dyrektora szkoły gminnej. Urząd nie będzie już powielał szkolnych spraw.

Podobnie może być w odniesieniu do kultury. Po co w urzędzie ma być referent do spraw kultury, skoro, dajmy na to, w miejscowym Gminnym Ośrodku Kultury jest pełny kompetentny pracownik? Właśnie na niego naczelnik może sędować uprawnienia do koordynacji kultury w gminie. Tak samo można postąpić w sporcie i innych dziedzinach.

Załącznik do projektowanego rozporządzenia Rady Ministrów wymienia rodzaje spraw, które terenowe organy administracji państwowej mogą powierzać innym jednostkom. Sprawy tych jest bardzo dużo i dotyczą jedenastu dziedzin, m.in. budownictwa, komunikacji, gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, geodezji, ochrony środowiska, kultury i

sztuki, oświaty, rolnictwa, zdrowia. Dokument ten daje szansę pozbycia się balastu spraw, które z powodzeniem w imieniu urzędu administracji państwowej mogą załatwiać wyspecjalizowane jednostki. Tym samym urzędy mają szansę umocnienia się w sprawach zasadniczych, gdyż ich uwaga nie będzie zaprzęta tysiącami drobniaków. Rady narodowe mają jeszcze inną możliwość modelowania działalności swego urzędu. Mianowicie, mogą korzystać z prawa upoważnienia innej rady do reprezentowania ich interesów. W ten sposób dla kilku gmin mogą powstać wspólne zrejonizowane służby. Takie rejonizacje w dziedzinach poza administracyjnymi funkcjonują od dawna w większych ośrodkach miejskich, obejmując one na przykład milicję, sądy, prokuraturę, straż pożarną, izby skarbowe, służbę weterynaryjną, stacje kwarantanny i ochrony roślin, inwestycje rolnicze.

Zrejonizowano także niektóre dziedziny podlegające administracji, bo taką potrzebę podyktowało życie. Na 57 jednostek administracji państwowej w woj. łódzkiej (7 miast, 19 miast i gmin i 31 gmin) mamy 8 urzędów Stanu Cywilnego, bo trudno sobie wyobrazić, by każda gmina miała własny USC. Jest 11 zrejonizowanych wydziałów zatrudnienia i 7 wydziałów zatrudnienia prowadzonych przez urzędy samodzielnie.

Jest 11 wydziałów geodezji i gospodarstwa kłuniami.

Rejonowy wydział w jakiejś dziedzinie administracji, to nie broń Boże, dać wny powiat, ale wydział silniejszego, z reguły miejskiego urzędu, który obsługuje kilka gmin na mocy porozumienia między tymi gminami i tym urzędem.

Obecnie trwają prace nad utworzeniem rejonowych ośrodków urbanistyki, architektury i nadzoru budowlanego. Każda gmina ma jakąś służbę w tej dziedzinie. Przeważnie są to referaty gospodarki komunalnej, nadzoru budowlanego i komunikacji. Bywa, że w jednym referacie problemy budownictwa połączone są z handlem i usługami. W praktyce nadzór budowlany, dziedzinie na wyspecjalizowana, w małej gminie nie może być prowadzona fachowo, choćby z powodu braku odpowiedniego człowieka.

Od kilku miesięcy przedstawiciele Urzędu Wojewódzkiego prowadzą z naczelnikami gmin rozmowy w celu sędowania problemów, nazwijmy je umownie — budowlanych — jednostkom mocniejszym. Oczywiście, odpowiedni glej w tej sprawie naczelnikowi może dać tylko rada narodowa, podejmując stosowną uchwałę. Naczelnicy przynajmniej w tych roboczych rozmowach, że istotnie, zwłaszcza w małych ośrodkach, są kłopoty z problemami budowlanymi,

ale tylko nieliczni zdołali uzyskać pozytywne uchwały swoich rad narodowych, pozwalające przekazać kompetencje w tej dziedzinie innemu urzędowi.

Rady nie zawsze potrafią obiektywnie ocenić własne możliwości. Być może obawiają się dalszej drogi do urzędu.

Rejony to zdołanie, ale ich nie wątpliwym atutem jest większa kompetencja. W zrejonizowanym wydziale urbanistyki, architektury i nadzoru budowlanego można myśleć o zatrudnieniu architekta i innych fachowców. Czy o oglądaniu architekta, choćby z daleka, może marzyć jakaś peryferyjna gmina?

Jedno jest pewne. Gmina powinna tak się zorganizować, by solidnie prowadzić u siebie na miejscu te sprawy, które obywateli na co dzień musi mieć w zasięgu ręki. To, co wymaga wyższego stopnia wtajemniczenia, może bez uszczerbku dla własnego znaczenia przekazać urzędowi silniejszemu.

Jeśli mała gmina będzie chciała nadal zajmować się wszystkim, nie będzie w stanie przejść nowych problemów, które przyniesie jej decentralizacja.

Gminy muszą organizacyjnie przystosować się do II etapu reformy. Jest więc o czym myśleć i radzić, zwłaszcza, że kadencja obecnych rad zbliża się ku końcowi.

LUCYNA GRABOWSKA

W Szprotawie grupa pracowników Komunalnego Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego systematycznie kradła, co się dało — lepk, rynn, farby olejne itp., aż łączna wartość materiałów skradzionych w ciągu ostatnich lat wyniosła 2.200.000 zł.

Siedem osób tymczasowo aresztowano, siedem odpowiada za wolności. Złodzieje byli bezczelni i pewni bezkarności. Nie fatygowali się nawet, aby 2.700 skradzionych „żeberek” do kaloryferów rozłożyć na kilka budów. Całą tą ilością obciążony został jeden obiekt, co nawet ktoś nie bardzo biegły w tych sprawach mógł zakwestionować. Materiały wydawały się niefrasobliwie, nie sprawdzając zasadności ich pobierania. Chcąc wszystkie te „żebereki” wykorzystać na tej, jednej budowie, trzeba by poobwieszać kaloryferami całe ściany, sufity i jeszcze by zo stało. Jest to typowy przykład przestępstwa, powstałego z powodu braku kontroli — dozoru i odpowiedzialności za niego, także, ślepoty kierownictwa, niedbalstwa oraz bałaganu w firmie.

O godz. 15.00 urzędnicy zgarniają papiery do szuflad, wylaczają grzejniki i wychodzą, nie sprawdzając, czy wszystkie okna, okienka i drzwi są dobrze zamknięte. Okazja kusi złodzieja. Przez te właśnie niepodomykane okna dostają się złodzieje do biur, magazynów, sklepów. Tak też dostał się złodziej do zielonogórskiego „Orbisu”, a wartość zrabowanych wówczas przedmiotów wyniosła kilka milionów zł.

W styczniu br. złodzieje weszli po drabinie do wysokości piętra, i dalej przez nie zamknięte okno, do biura Spółdzielni Mieszkaniowej w Bytomiu Czerwskim. W lipcu br. niezabezpieczonym włazem na węgłach dostali się do sklepu z galanterią w Nietkowicach. W sierpniu br. wycofnęli nie domknięte okno i weszli do Usługowej Spółdzielni Pracy w Nowej Soli. Nie każda kradzież wiąże się z włamaniem, bo niekiedy złodzieje mają wolną drogę i nie muszą się włamywać. Do Szkoły Rolniczej w Siedli-

## ELEKTRONICZNY DOZORCA

Halina Ańska

skach wszedł łatwo przez otwarte okno, spłądował wnętrza i skradł książeczki oszczędnościową, będącą wspólną własnością młodzieży.

Większe przedsiębiorstwa pilnowane są przez straż przemysłową — i straż ta w ocenie MO dobrze spełnia swe powinności. Gorzej jest z pracownikami Ochrony Mienia. Są to często ludzie w starszym wieku, niekiedy inwalidzi. Pewne budowy pilnował mężczyzna o dwóch kulach, innej z trudem poruszająca się, 70-letnia kobieta. Dozorcy traktują „noki” jak normalny czas do wypoczynku. Niektórzy drzemają sobie, niektórzy popijają. Towarzysząc nocnemu patrolowi MO sama widziałam pijanych patrolistów. Wszętko potwierdza, wózków ciemno, a w stróżówce mało przytomny dozorca. Kumpie zdążyli uciec, zostały butelki po winie, autowidol, denaturacja...

W miastach przypadki złego dozoru, bądź jego całkowitego braku, wprawdzie nie często, ale jednak się zdarzają. Za to na wsiach są zjawiskiem powszechnym. Gospodarstwa rolne, rybne, ogrodnicze, place należące do kolek rolniczych, różnych zakładów i wytwórni, są na ogół niepilnowane. Na progu wypatrywać nawet lampy, a złodziejom w to gra!

Ludzie powtarzają żartobliwie: „Spój spokojnie, ORMO czuwa”. Otóż istotnie, w województwie zielonogórskim 650 ormowców w kilkusetosobowych grupach pilnuje 180 obiektów, pomagając milicji. Taki społeczno-milicyjny patrol w okolicy Żar w piątek 23 października br. o godz. 4 nad ranem, zwrócił uwagę na jadący z nadmiernym obciążeniem masy fiata. I co się okazało? W „maluchu” oprócz kierowcy znajdowali się jeszcze dwaj mężczyźni i... spawarka elektryczna, skradziona w Zakładach Płyt Włókowych w Żarach, gdzie zatrudniony był jeden ze sprawców.

Nowa Sol, godz. 2 w nocy. Dzwoni mi licyjny telefon: — Przechodziłam przed chwilą koło sklepu ZURIT — mówi kobiecie głos — i widziałam, że ktoś się tam włamywa... Pod sklep natychmiast podjechał radiowóz MO. „Sprawca” zdołał wytłumaczyć swe nocne manewry — tym, że jest pracownikiem sklepu i ma istotny powód, by o tej porze wejść do środka. Tłumaczenia okazały się wiarogodne i prawdziwe.

W nocy z 6 na 7 października br. dwaj powracający z pracy kierowcy Przedsiębiorstwa Komunikacji Miejskiej w Zielonej Górze spostrzegli dwóch osobników, włamywających się do sklepu samoobsługowego przy zbiegu ulic Fabrycz-

nej i Konstytucji 3 Maja. Jednego udało się schwytac, drugi uciekł, ale natychmiast wezwana milicja aresztowała go w mieszkaniu.

Porucznik Andrzej Gorgiel z WUSW mówi, że czyn kierowców PKM był najlepszym prezentem dla funkcjonariuszy MO, z okazji przypadającego właśnie na jutro dorocznego święta milicji. Podobnie zachowała się pewna mieszkanka Koźuchowa. Dzięki podanemu przez nią dokładnemu rysopisowi przestępców, którzy obrabowali miejscową restaurację, szybko do nich trafiła milicja. W sumie chodzi o to, aby każdy, kto przypadkiem zauważy coś podejrzane go wo koło sklepu, magazynu, szkoły, domu, parkingu itp., nie zwlekając, dać znać MO.

Nasilone kontrole MO i ORMO pioszą złodziei i złechaczy wlamywaycy, co znajduje wyraz w liczbach porównawczych, zwłaszcza dotyczących kradzieży mienia prywatnego. W 1986 roku kradzieży takich było 1269, a suma strat wyniosła ponad 41 milionów zł. Od początku stycznia br. do końca września br. czyli w okresie 9 miesięcy 1987 r. zdarzyło się 88 kradzieży, a suma strat sięgnęła 28 milionów zł. Nastąpił więc dość duży spadek. Wśród tych 88 przestępstw popełnionych w tym roku na szkód prywatną, są 34 kradzieże pojazdów. Z tej liczby 30 pojazdów zostało odnalezionych. Wśród nich odnalezionych znajduje się ciągnik skradziony w rejonie Żary - Żagań.

Złodziejom ułatwiają zadanie sami właściciele pojazdów oraz gospodarze osiedli. Parkingi są przeważnie słabo oświetlone lub całkiem ciemne. Samochody stoją w różnych miejscach, także poza parkingami. Drzewczki bywają nie zamknięte, niepodciągnięte szyby. Toteż giną rzeczy pozostawione w samochodach, giną radia, opony, dekiele, narzędzia z bagażników. Ginią pojazdy.

Właściciele wozów mają powody, by spać niespokojnie, toteż wychodzą na balkon, wygładają oknami. Schodzą z wysokich pięter i sprawdzają, czy maluch stoi cały.

Sposobem, na spokojne noce zmotoryzowanych lokatorów są „grupy samopomocy sąsiedzkiej”. Po prostu: zbierają się posiadacze wozów z jednego bloku lub części osiedla, 50 lub 80 osób i wyznaczają sobie dyżury dwu — trzyosobowe, np. od godz. 23, do rana. W ten sposób kosztem kilku godzin nieprzespanych raz na jakiś czas, można być spokojnym o samochód. Takie grupy działają już podobno w Żarach i Szprotawie. Tak samo też ludzie organizują sobie ochronę działek, piwnic, garaży.

Samopomoc sąsiedzka udaje się tam, gdzie mieszkańcy stanowią społeczność zgraną i zgodną. Tymczasem w wielkich blokach mieszkalnych panuje sprzyjająca złodziejom i wlamywaycom anonimowość. Sąsiedzi nie znają się nawzajem, rzadko coś o sobie wiedzą, a jeśli nawet, to tylko o lokatorach z tej samej klatki schodowej. Na ogół też nie interesują się tym, kto chodzi po korytarzu i czego szuka wokół domu. Scena z serialu „Alternatywy”, gdy lokatorzy pomagają złodziejom w ładowaniu skradzionych mebli do wozu, myśląc, że jest to sąsiedzka przysługa przy przeprowadzce, wcale nie odbiega od rzeczywistości.

Inaczej żyje się w kamienicach stojących w ciasnym szeregu frontem do ulicy z podwórkami od tyłu, a inaczej w wielorodzinnych blokach na osiedlu, bez podwórek, z wejściem otwartym przez okragłą dobe. Lokatorzy takich „mrówkowców” zawężają granice egzystencji

do własnych czterech ścian i nie są ciekawymi, co dzieje się na zewnątrz.

Przed blokiem biegały dzieci z kluczami uwiązany na szyjach. Zbliża się mężczyzna. — Przysiał mnie twój tatuś — mówi do chłopczyka — po dokumencie, których zapomniał zabrać, a które są mu pilnie potrzebne... Dziecko wprowadza nieznanego do mieszkania, a gdy po kilku godzinach rodzice wrócą z pracy, okaże się, że zniknęły cenne przedmioty, pieniądze, biżuteria. Podobno nie miał w każdym domu „przechowywać” się pieniądze w szafie pod bielizną, a biżuterię w... kredensie, w kieliszku.

Z danych MO wynika, że straty z tytułu przestępstw dokonanych w województwie zielonogórskim w latach 1970-1986, wynoszą 1 miliard 170 milionów zł (w tym 660 milionów to straty wynikłe z przestępstw kryminalnych). Rosną straty spowodowane przestępstwami gospodarczymi, natomiast maleją kradzieże z włamaniem do obiektów społecznych. Niemniej jednak jest to wielki problem. Milicja uważa, że przyczyną utrzymania się zagrożenia kradzieżami i włamaniem, jest słaby stan zabezpieczenia mienia zarówno społecznego, jak i prywatnego. W wielu zakładach panuje niewiarygodny brak odpowiedzialności za powierzono mienie oraz tolerowanie niegospodarności i marnotrawstwa.

W sytuacji, gdy tradycyjne sposoby strzeżenia majątku przedsiębiorstw zawodzą i nie wystarczają, Wojewoda Zielonogórski wydał w kwietniu u. br. zarządzenie w sprawie „technicznej ochrony mienia”. Powołał też Wojewódzki Ze spół ds. Ochrony Mienia, mający nadzorować realizację zarządzenia. Przeprowadzono kilka narad przedstawicieli firm, przede wszystkim handlowych i produkcyjnych, zaś w Ośrodku w Drzonkowie, a następnie na Osiedlu Pomorskim w Zielonej Górze odbyły się pokazy urządzeń sygnalizacyjno-alarmowych, gwarantujących bezpieczeństwo.

W wyniku tych starań i zgodnie z sugestiami WUSW, niektóre, co bogatsze, przedsiębiorstwa zafundowały sobie takie elektroniczne dozorce. Wysokie koszty instalacji uniemożliwiają powszechne stosowanie nowoczesnych systemów. Jednak firmom handlowym powinno się to, mimo wszystko, opłacić. Warto dodać, że PZU obniża o 15 proc. składkę ubezpieczeniową tam, gdzie jest urządzenie elektroniczne i o 30 proc. jeśli system alarmowy połączony jest z MO.

Powstał w Krakowie i nazywa się „DGG-16” od nazwisk konstruktorów: dr Ryszarda Dulskiego z AGH oraz kapitanów z WUSW mgr inżynierów Bogusława Głogowskiego i Bogdana Galikowskiego. Składa się z komputera i wielu terminali, które instaluje się w poszczególnych pomieszczeniach. Ma 16 tysięcy możliwości połączeń, reaguje na dym, światło, najbliższy ruch, dźwięk, obywatel się syreny alarmu dzwonka, czy innego sygnału alarmującego, piosącego złodzieja. Jest stróżem bezbłędnym, doskonałym, wręcz idealnym i na razie jeszcze pełni służbę eksperymentalną, w piętnastu miejscach w kraju.

Zanim elektronika obejmie etaty stróżowskie i zanim zastąpi nasze powszechne zamki „jale” i kłódki, co mamy robić my, ludzie prywatni? Jak mamy pilnować naszych mieszkań? Milicja radzi: wzmocnić zamki, drzwi opatrzyć bolcami, zamykać okna, wejścia na balkony, strychy i do piwnic oraz rozmaite włazy. Zachować ostrożność przy wpuszczeniu do domu osób nieznanym. Nawiazać znajomości z sąsiadami. Kupić psa! Mieć oczy otwarte na wszystko, co się wokół dzieje...



## OSTAŁ SIĘ kogut

Józef K., jak na swoje 71 lat — trzymał się bardzo dobrze. Dziarsko kręcił się po podwórku, uprawiał niewielki ogródek, trochę pomagał chorowitej żonie w domowym gospodarstwie, a przede wszystkim — hodował ukochane kurki. Szczególnie ostatnio dbał o nie. Zona — zdarzało się — często nie mogła wstać z łóżka, zapadała na przeziębienia, zapalenia i wtedy — taki tłuszczyk rosół okazywał się nieodzowny. Kuśtykał więc dziadek, włókł nieco słabszą lewą nogę, pamiętał o zielonym pożywieniu dla swych ulubieńców. Najwięcej kłopotów miał z kogutem. Ten młody jeszcze niepołtwa wyraźnie swego podwórka nie lubił i przechodził na sąsiednie posesje, nawet na ławkę po drugiej stronie ulicy. Wiele razy szukał dziadek kogutka, ale historia powtarzała się od nowa już następnego dnia.

Pewien czerwcowy dzień, pogodny, zapowiadał się spokojnie jak wszystkie poprzednie. Wychodząc na podwórze — dziadek instynktownie czuł, iż koguta nie będzie wśród kurzej gromadki. Nie miał nic ważnego do roboty, dlatego wybrał się na poszukiwanie zguby. Koguta nie było w żadnych z dotąd „odwiedzanych” miejsc. Kolorowe piórka zamigotały dopiero na podwórku Bronisława B., 59-letniego kuzyna dziadka. Starszy pan trochę się nagał i zasapał, zanim złapał koguta. Chwycił go mocno i wsunął pod pachę, gdy usłyszał głos pijanego krewnego — „A ty czemu zabierasz mojego koguta?” „Ależ to mój, ten co zawsze ucieka” — wytłumaczył się dziadek i zamknął za sobą furtkę. Ale zaczęły nastrojony kuzyn wyraźnie mu nie wierzył i w jednej chwili znalazł się przy piocie. Zaczął szarpać koguta i jego właściciela. A kiedy za nic nie chciał oddać ptaka — jak szalony wybiegł na drogę i uderzył Józefa K. tak silnie, że ten upadł na ziemię. Nieszczęsny kogut wyrwał się z uścisku i uciekł. Tymczasem pijak nie zważając na jęki leżącego skoczył mu na klatkę piersiową, zaczął dusić i gnieść kolanami

i bić z całej siły po głowie, twarzy i piersiach. Po kilku minutach starszy człowiek stracił przytomność. Odzyskał ją w momencie, gdy zycyli sąsiedzi polewali go wodą i pomagali podnieść się z ziemi. Obok nie było tylko pijanego B. i... koguta.

Gdy kierowniczka jednego z klubów rolnika pod Cybinką zgłosiła, że jej wuj został ciężko pobity, Józef K. znajdował się w szpitalu w Krośnie Odrzańskim. Początkowo, po przyjeździe do domu — pobity leżał się domowymi środkami. Uskarżał się na ból w nodze i w piersiach. Kie dy jednak zaczął się dusić — wezwano karetkę pogotowia. Lekarska obdukcja stwierdziła u pacjenta zbitę prawe płuco oraz obecność w nim wody. Po kilku dniach choremu amputowano nogę. I wydawało się, że wszystko będzie dobrze, Józef K. wróci do domu, kiedy odwiezający w szpitalu krewni zauważyli u dziadka apatię i niechęć do życia. W tydzień po operacji pacjent zmarł.

Według protokołu sekcyjnego: „morfologiczną przyczyną zgonu był krwawiak jamy opłucnej, czyli następstwo po bicia. Nie można jednak pominąć udziału w przyczynie zgonu — zgorzeli kończyny dolnej — na tle miażdżycowym. Krwawiak jamy opłucnej spowodował poważne obciążenie rezerw układu krążeniowo-oddechowego. Jednak do zgonu doprowadziła konieczność wykonania w tym samym czasie i w tym stanie — operacji zmiennej kończyny”.

Przyczyna śmierci Józefa K. była zatem złożona. Wpłynęła na nią i wcześniejsza choroba, miażdżyca, i to, że został tak dotkliwie pobity. I zapewne owo pobicie przyspieszyło zgon. Możemy założyć, iż starszy pan żyłby jeszcze gdyby nie ów fatalny w następstwie czerwcowy wypadek. Sprawca nieszczęścia, pijany wtedy Bronisław B., przyznał się, iż pobił swego kuzyna. Ze był go do nieprzytomności. Podobno wydawało mu się, że Józef K. wynosił nie swojego; lecz jego, Bronisława, koguta. I właśnie dlatego tak mocno uderzył i nie liczył się ani ze swoją siłą, ani z wiekiem krewniaka.

Świadkowie zajścia, sąsiedzi, dopomogli w sformułowaniu aktu oskarżenia. Bronisławowi B. zarzucono, że pięścią uderzył Józefa K. i gdy ten przewrócił się — zbił leżąc go do nieprzytomności. Następstwem pobicia było między innymi: złamanie żeber strony prawej i powstanie krwawiaka jamy opłucnej. Było to bezpośrednią przyczyną zgonu Józefa K.

Oskarżonemu wymierzono karę 2 lat pozbawienia wolności oraz kary pieniężnej na rzecz Państwowego Domu Opieki dla Dorosłych w Brzeźnicy, na rzecz żony zmarłego Józefa K., pokrycie kosztów postępowania i opłaty sądowe.

EWA ZAREMBIANKA





## „CIEŻKIE CZASY” W HISTORYCZNYM SOSIE

Dziś nie można wystawiać Bałuckiego według starych wzorów. Publiczność żąda szerszego spojrzenia: może odnieść do współczesności? może osadzenia fabuły w historii? może rozmowy o cechach narodowych?

I tu rodzi się istotne pytanie o granice ingerencji reżysera, o prawo do dokonywania zmian, do przypisywania autorowi intencji, które jemu nie przyszły by do głowy. Każdy reżyser odczytuje na nowo tekst sztuki. Formalnie nie ograniczono nigdzie jego prawa do dowolnej interpretacji: może być Hamlet we fraku, może być Balladyna na Hon dzie. A przecież bywają pomysły udane i chybione, takie, które sztuce czynią wydarzeniem artystycznym i takie, które nie niosą jej klęskę.

Pierwszy akt „Cieźkich czasów” brzmi zupełnie współcześnie: żyjemy w trudnym okresie, trzeba dokonać przemian w gospodarce. Ale premierowy widowni trochę markotno zrobiło się, gdy w dniu ogłoszenia komunikatu PAP o nowych cenach, usłyszeli receptę Żuryle: „Podroźnia kawa, piję sobie polewkę albo żurek na śniadanie, nie stoć mnie na pieczeń, jem kaszę i ziemniaki, nie mam na wino, piję wodę”. A jakże pyszny i współczesny jest Kwaskiewicz z utyskiwaniem: „Wiem z góry, że się nie uda, bo my mamy takie psie szczęście, że do czego się ude- niemy, to się nie uda”. Gdy ze sceny pada zapowiedź przyjazdu wysoko postawionej osoby, plany przemian ekonomicznych biorą w łeb, a wszyscy de- batują jak zorganizować przyjęcie: „Trzeba wubrać komitet, prezesa, wice prezesa, sekretarza. Następnie podzieli- my się na sekcje: przyjęcia, gospodar- cza, dekoracyjna itd.” Tak, tak. Jesteś- my wśród swoich. Nieważne, że urodzo- nych sto lat wcześniej.

Ale zamiast zarządzonego księcia polskiego dworu zjeżdża wie- deńska prawie-dama i zaczyna się komediowe przepychanki, spada tempo akcji i waga nadejmowanych proble- mów. U Bałuckiego wszystko dobrze się kończy: wyśmiali zostali ci, którzy uwierzyli w notę księcia, wiedeńska dama pojechała sobie a cud-panienska Bronia wyszła za mąż za nauczzonego solidnego gospodarowania młodego Żuryle.

Takie rozwiązanie nie satysfakcjonu- wało reżysera! — jak sądzę — nie za- dowoliłoby widzów. Postanowił więc Lech Terpiłowski nadać tej opowieści

głębię historyczną, a spirytus movens wszystkich przemian uczynił Babcie. Babcie nie ma wśród scenicznych postaci, u Bałuckiego mówi się o niej. U Terpi- łowskiego jest. Stoi na balkonie i z gó- ry śledzi akcję, a nawet nią kieruje. To ona strzela z procy do czarnej ścia- ny (o scenografii za chwilę), co — jak sądzę — należy rozumieć jako próbę obalenia rzeczywistości. Babunia coś rozrzuca z wysokości raz dla szczęścia, raz dla propagandy, wreszcie staje na czele finałowej grupy.

Dla Terpiłowskiego, w odróżnieniu od Bałuckiego, zgoda na małżeństwo Broni i Karola nie jest finałem. Przedwe- selne plasy przerywa gwałtowna burza z piorunami i wiatrem historii. Karol i Julek nafaśzerowani ulotkami udeją się do stojącej na szczycie schodów roz- świetlonej prawie-damy, czyli do Wied- ni. Bronia pada u stóp schodów, ze- sceny znosi ją nieoceniony Matlachow- ski. (Bronia to po reżyserskich zmia- nach najbardziej nie logiczna postać!)

A kiedy już wiatr Historii skończy wiać, rozlegną się dźwięki pieśni „My, pierwsza brygada”. Po prawej stronie stanie grupa pań wdzięcznie machają- ca chusteczkami, a z tyłu sceny, z pod- ziemi, wyłoni się grupa mężczyzn, go- towych do boju, na czele z Babcie — ni to powstańcem styczniowym, ni Pił- sudskim w spódnicy.

Tak to z „Cieźkich czasów” rodzi się rewolucja. Daje głowę, że Bałucki tego nie wymyślił. Patoz historii zderzony z wcześniejszą błazenadą okazał się pusty balonem. „Cieźkie czasy” nie wy- trzymały historycznego sosu.

Ten sos w wyrazie scenograficznym jest czarny i foliowy. Otacza scenę ze wszystkich stron, wylewa się z łóż, okalających scenę, stanowiąc tylną ścia- nę, leży na podłodze. Magma? Błoto? Bryja? Symbolika trudno zrozumiała w trakcie przedstawienia, stanowiąca kon- trast do paradnych strojów i scenicz- nej pogody. Logiczna z perspektywy fi- nału. Ale zgoda na nią jest również zgo- da na finał, a o tym już było.

Zespół aktorski zagrał Bałuckiego i tylko Bałuckiego. Na scenie były śmie- szne figury, sarmackie gesty, prowincjo- nalne intrzyki, muchy w nosie itd. Ca- ły tradycyjny, komediowy sztafż mo- no tracący myśłą, choć przecież chwi- lami zabawny. Ludzie na scenie nie mieli żadnego poczucia przeszłości ani przyszłości, żadnej historii, niewoli, re- wolucji. Pewnie właśnie dlatego reży- serski finał okazał się zgrzytem.

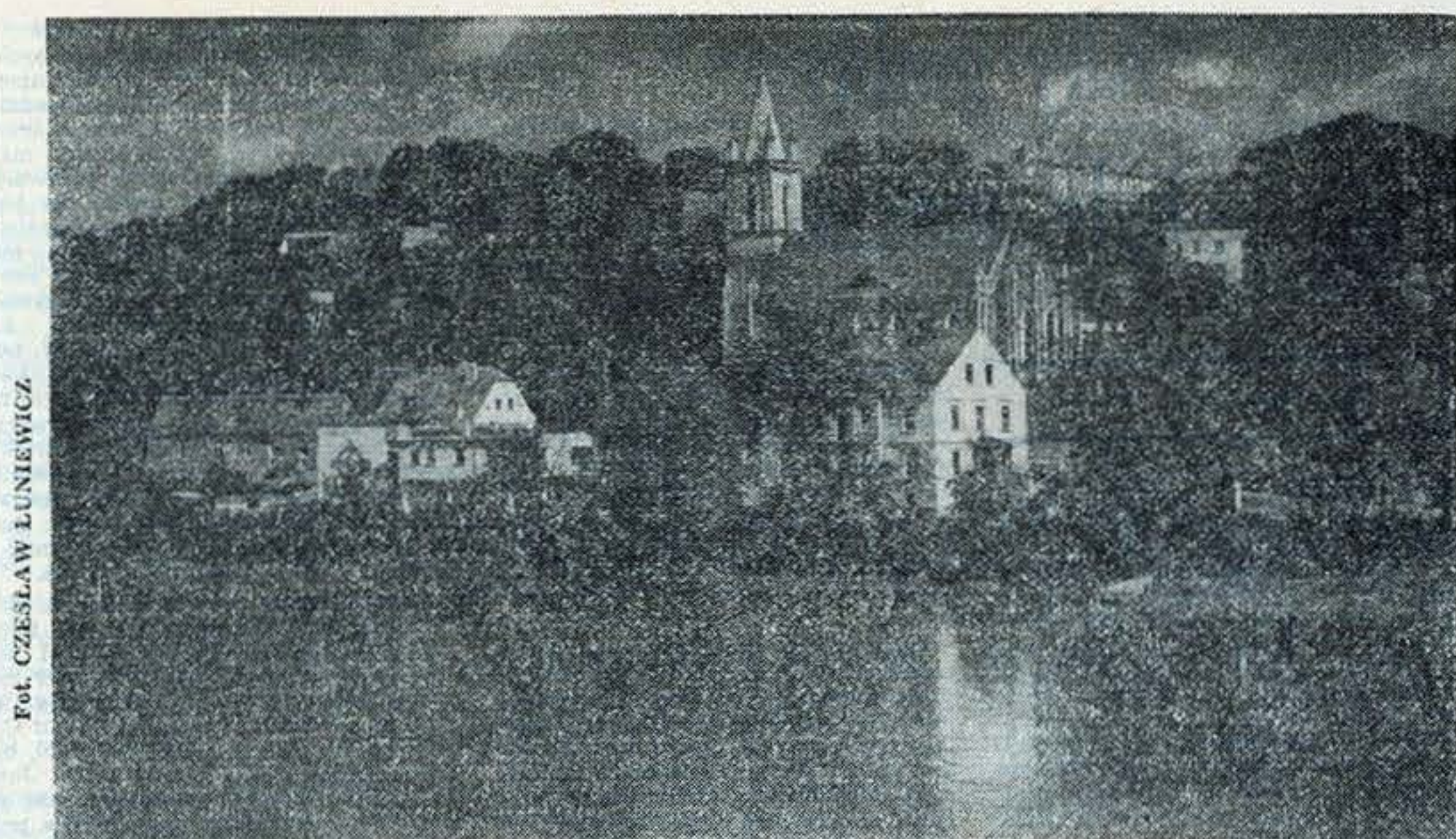
### KRYSTYNA KAMIN'SKA

Michał Bałucki: „Cieźkie czasy”. Insceni- zacja i reżyseria — Lech Terpiłowski, scenografia — Kuba Konarski, plas- tyka gestu i ruchu — Ewa Puchalska, opracowanie muzyczne — Sławomir Pietrzykowski, opracowanie dźwiękowe — Alina Langman. Obsada: Babcie — Benta Chorążkiewicz, Lechicki — Ma- rek Łyczkowski, Juliusz — Andrzej Kietliński, Bronia — Agata Witkowska, Żuryle — Marek Pućko, Karol — Zbigniew Moskal, Natalka — Krystyna Kacprowicz, Bajkowski — Zbigniew Graczyk, Aurora — Maria Wójcikow- ska, Idalia — Grażyna Sulikowska, Gietkowski — Wacław Weiski, Petrone- la — Danuta Lewnadowska, Kwaskie- wicz — Zdzisław Latoszewski, Leonida- s — Wojciech Deneka, Służący — Eugeniusz Paukzto, Matlachowski — Marek Czyżewski. Premiera 14 listopa- da 1987 r.



Od lewej: Marek Łyczkowski jako Lechicki i Andrzej Kietliński w roli Juliusza

Fot. JERZY SZALBIEK



## Odra w dziejach Polski

Władysław Korcz

Dzieje Polski od momentu wystąpienia jej na widownię polityczną Europy wiązały się w sposób wyjątkowo ści- sły z dorzeciami dwóch rzek: Wisły i Odry. Tej podstawowej prawdy nie da się podważyć, mimo, iż w naszej histo- rii nie brakowało prób zepchnięcia na- znan Odry i ograniczenia naszej egzy- stencji narodowej wyłącznie do tery- rium najbliższego Wiatu.

Już za pierwszych Piastów do Boles- ława Krzywoustego włącznie, kształ- towanie się państwa polskiego i najwa- żniejsze wydarzenia polityczne rozgry- wały się nie nad Wisłą a nad Odrą. Swoim znaczeniem politycznym Odra znacznie górowała nad Wisłą. Odra by- ła naszą najstarszą granicą zachodnią, o utrzymanie której stoczono wiele walk z naporem cesarstwa niemieckie- go.

Niewielkie państwo piemienne Polan rozciągające się między jeziorami Gopłem a Poznaniem, bar- dzo szybko wyszło poza te swoje naturalne granice, gdy na jego czele stanął nasz pierwszy, historyczny władca Mieszko I.

Koncepcje polityczne, które rozpoczął realizować Mieszko już około 960 roku, doprowadziły go do brzegów środkowej Odry, gdy zajmował niewielką nad- odrzańską krainę — Ziemię Lubuską. Konsekwencje tego faktu były dla da- lszych losów organizowanego przez Mieszka państwa nader doniosłe. Już bowiem w r. 963 doszło do pierwszej zapisanej w źródłach wojny o Ziemię Lubuską.

Prawdopodobnie bowiem ziemia ta pozostawała pod bezpośrednim wpły- wem innego państwa słowiańskiego — Związku Wieleckiego, rozciągającego się na północ od Ziemi Lubuskiej nad obu brzegami dolnej Odry. Fakt usadowie- nia się nad środkową Odrą nowego są- siada, intencje którego w dalszym jego działaniu mogły wydawać się podejrz- ne, doprowadził do zbrojnego konfliktu. Jeśli zwrócimy uwagę, że do lokalnego starcia wniósł się groźny margrabia cesarski Gero w wyprawie swej pod- chodzącej w pobliże ówczesnej granicy państwa Mieszkowego, od razu zaryso- wuje się groźne położenie młodego pań- stwa polskiego, tym bardziej że nasz sąsiad południowy — Czechy, w które go rękach znajdował się Śląsk, byli sojusznikiem Związku Wieleckiego.

Na szczęście Mieszko I w tym arcy- trudnym położeniu potrafił znaleźć roz- sądne wyjście. Zawarł układ z Gero- nem godząc się na płacenie trybutu „z ziemi po rzekę Wartę”. Dziś już history- cy są zgodni, że chodziło tu o Ziemię Lubuską. Równocześnie modyfikując swój dotychczasowy plan w stosunku do ziem nadodrzańskich, zawarł on so- luz z Czechami, przypieczętowany ty- powo politycznym małżeństwem z księ- żniczką Dobrawą, rozbił groźny dla Pol- ski sojusz wieloletni — czeski. Później- sze walki z Wietłami, wspomaganymi przez politycznego awanturnika, ucieki- niera z cesarstwa — Wichmana, były etapami podboju Pomorza Zachodniego. Mimo przeszkód ze strony cesarstwa, najazdu w roku 972 margrabiego Hodo- na na Polskę, zakończono walnym zwycięstwem Mieszka w bitwie pod Ce- dynią, ataku samego cesarza Ottona II w r. 979. Mieszko zrealizował swój gło- wny plan i opanował ujście Odry, u- gruntuując swą władzę na wybrzeżu bałtyckim od ujścia Odry po ujście Wisły.

Na koniec ostatnim etapem rozszerze- nia panowania Polski nad brzegami Odry stało się usunięcie Czechów ze Śląska i włączenie tej dzielnicy w obręb państwa polskiego.

Te, w dużym skrócie przedstawione wydarzenia polityczne, u zarania dzie- jów Polski, z daleko w przyszłość się- gającymi konsekwencjami, rozegrały się nad Odrą. Odra była główną osią,

wokół której rozgrywały się wszystkie wydarzenia decydujące o przyszłości sa- mach naszego państwa. Już Mieszko zre- alizował podstawową myśl, która paro- krotnie w późniejszej historii kopowa- na była i powtarzana. Myśl ta sprowa- dza się do stwierdzenia, że kto posi- da jedną z ziem nadodrzańskich (Po- morze Zachodnie, Ziemię Lubuską lub Śląsk), ten konsekwentnie będzie zmie- rzał do objęcia swą władzą pozostałe ziemie. Podstawowym czynnikiem de- terminującym taki stan rzeczy jest Odra, spajająca wszystkie trzy ziemie w jedną całość.

Z dokonanych dotychczas spostrzeżeń narzuca się oczywisty wniosek: w cią- gu prawie dwuwiekowej historii nasze go państwa polityczne znaczenie Odry górowało nad gospodarczym i zdecydo- wanie przewyższało pod tym względem rolę Wisły.

Dwie najważniejsze wojny z cesar- stwem, za Bolesława Chrobrego (1005-1018) i za Bolesława Krzywoustego (1109 r.), rozegrały się głównie nad brze- gami Odry (poza jednym sporadycznym przypadkiem dościsła Niemców pod Po- znań). Odra stanowiła główną linię frontu w r. 1109, której Niemcy nie przekroczyli. Zwycięstwa Polski w obu wojnach zadecydowały o utrzymaniu naszej najstarszej granicy zachodniej, w której Odra odgrywała rolę łączni- ka pomiędzy krainami leżącymi nad jej brzegami.

Nawet w okresie rozbięcia dzielnicowe go polityczne znaczenie Odry nie zmniejsza się. Interwencja cesarza Kon- rada II (na rzecz wypędzonego z Pol- ski seniora Władysława) i szczególnie niebezpieczna Fryderyka Barbarossy (1157 r.), która doprowadziła do podpo- rzdkowania cesarzowi Bolesława Kę- dzierzawego i zmusiła w końcu naszego księcia do oddania Śląska synom Władysława Wygnanemu, miały na celu upo- rzadkowanie spraw politycznych nad Odrą, z wyraźną korzyścią na rzecz ce- sarstwa.

Nad tą samą Odrą jednak została wskrzeszona idea jednolitości państwowej, w państwie dzielnicowym Henryka Brodatego, podczas gdy w pozostałych dzielnicach przeważały tendencje na rzecz rozbięcia feudalnego. Wprawdzie nie doszło do realizacji tej idei, niem-niej sam fakt jej przypomnienia, co o- znaczało opowiedzenie się za jednolito- nym państwem, zasługuje na szczegó- łne zaakcentowanie. Mimo rozbięcia dziel- nicowego, Odra znajdowała się nadal w obrębie ściśle oddziaływania Polski jako całości. Dążności zjednoczeniowe bowiem znad Odry kierowały się w stronę pozostałych dzielnic leżących od niej na wschód.

Ta niewątpliwa łączność Odry z resz- tą Polski została rozerwana w połowie XIII wieku, gdy to książę ówczesnej Ziemi Lubuskiej Bolesław Rogatka (naj- starszy syn Henryka Pobożnego), pra- gnąc rozstrzygnąć konflikt ze swym młodszym bratem Henrykiem Wrocław- skim, w zamian za obiecaną pomoc od- staąpił margrabiom brandenburskim lewobrzeżną Ziemię Lubuską.

Od tego tragicznego momentu Odra przestała być rzeką graniczną, znajdu- jącą się pod bezpośrednimi wpływami Polski. Nad jej brzegami usadowił się groźny przeciwnik, wspierany przez wszystkie antypolskie ugrupowania nie- mieckie, który zmierzał do rozszerzenia swych wpływów kosztem ziem leżących na wschód Odry, tj. przede wszystkim Wielkopolski. Pod bezpośrednią bowiem groźbą agresji brandenburskiej pozos- tała książęta wielkopolscy aż do chwili koronacji Władysława Łokietka (1320), jako króla zjednoczonego królestwa polskiego. Sam zaś fakt zjednoczenia rozdartych przez prawie dwa wieki ziem polskich, nader doniosły dla da- lszych losów Polski, nie oznaczał obje- cia granicami przez nowe królestwo Odry i leżących nad nią ziem. Nowe

granice zachodnie królestwa polskiego przebiegały dość daleko od Odry. Ani bowiem Pomorze Zachodnie, przez dłu- gi czas rządzone przez rodzimą dyna- stię, a po które wyciągali już swe ręce Brandenburczy, ani Ziemia Lubus- ka — ani Śląsk zajmowany stopniowo przez Luksemburgów, królów czeskich i cesarzy niemieckich — nie weszły w skład zjednoczonego przez Łokietka królestwa polskiego.

Nie oznaczało to jednak, że zarówno Łokietek jak i Kazimierz Wielki zrezy- gnowali z prób dokonania zmian zaist- niałych nad Odrą. Wytrwały Łokietek zorganizował wyprawę wojenną przeci- wko Brandenburgii, która miała Polskę przywrócić stare jej granice nad Odrą. Początkowy sukces tej wyprawy — do- jście aż pod bramy Frankfurtu — przy pomocy zjednoczonych Polaków wojsk litew- skich, zwyciężył Zakon Krzyżacki ude- rzając na Polskę od północy. Łokie- tek co prędzej zmuszony był do zawar- cia pokoju z Brandenburgią, w zna- nym układzie landsberskim (gorzow- skim), by cały wysiłek zbrojny zwró- cić przeciwko Krzyżakom. Rezultat zaś wyprawy przeciwko Brandenburgii przy- niósł jedynie odzyskanie kasztelanii międzyrzeckiej. Odra w środkowym swym biegu pozostawała nadal w ręk- ach Brandenburków.

Sprawy ziem nadodrzańskich nie obo- jętne były również Kazimierzowi Wiel- kiemu. W wyniku zabiegów dyploma- tycznych udało się mu włączyć w gra- nice Polski znaczną część Nowej Mar- chii, zamkniętej od południa Notecią, Gwdą od wschodu, Drawą od zachodu i posiadłościami księcia słupskiego od północy. Na tym terenie leżały gro- dy: Walcz, Drahim i Czapińsk. Nie mó- wiąc o kilku lat wcześniej uzyskanych dwóch starych grodach polskich: San- toku i Dreżdenku. Powrót Polski nad Odrę Kazimierz wiązał z osobą swe- go wnuka Kaźka Szczecińskiego, któ- rego pragnął widzieć na tronie pol- skim i któremu umierając zapisał znacz- ne posiadłości w samej Polsce liczące się z przejęciem przez Kaźka tronu w Kra- kowie, co oznaczałoby włączenie w gra- nice Polski ujścia Odry, jako dziedzic- twa Kaźka oraz — księstwa słupskie- go, którego również Kaźko był spadko- biercą. Niestety, tych znakomych pla- nów nie udało się zrealizować z powodu sprzeciwu Ludwika Węgierskiego, któ- ry uniemożliwił realizację testamentu Kazimierza, oraz pewnej nieudolności samego Kaźka, nie umiającego działać zdecydowanie we własnej sprawie.

Następny okres w dziejach Polski — jagielloński, który doprowadził Polskę do pozycji jednego z mocarstw europe- jskich, dla ziem nadodrzańskich nie przyniósł nic nowego. Odra pozostała nadal z dala od ówczesnego państwa polskiego, rozciągającego się daleko na wschód. Trzeba powiedzieć jasno i ot- warcie, Jagiellonowie zajęci ziemiemi na wschodzie, zupełnie nie rozumieli problematyki nadodrzańskiej. Nie za- tem dziwne, że nadarzające się w XV wieku, za Kazimierza Jagiellończyka możliwości odzyskania Śląska nie zo- stały wykorzystane. Nawet najkorzyst- niejszy moment, gdy na tronie czeskim zasiadł najstarszy syn Kazimierza, a namiestnikiem Śląska, po krótkotrwa- łym okresie Jana Olbrachta, został naj- młodszy z Jagiellończyków — Zygmunt, nie nie zrobiono dla sprawy polskiej nad Odrą. Zygmuntowi Staremu całko- wicie wystarczył fakt, że ziemi nad- odrzańskie (Śląsk) pozostają w rękach dynastii jagiellońskiej.

Do sprawy Odry, jako granicy pań- stwowej, do końca XVIII wieku nie wrócono. Co najwyżej w czasie Oświe- cenia sporadycznie wymieniano Odrę (H. Kollataj) jako kiedyś polską rzekę, bez jakichkolwiek jednak konsekwen- cji politycznych. Tym bardziej, że zie- mie nadodrzańskie, Pomorze Zachodnie, Ziemia Lubuska i Śląsk zostały zjedno- czone pod berłem króla Prus. Panowa- nie Prus nad Odrą dotrwało bez przer- wy do roku 1945. Dopiero zwycięskie także dla Polski zakończenie II wojny światowej oraz Uchwały Poczdamskie przywróciły stan sprzed tysiąclecia. Od- podżona Polska stanęła znowu na swej najstarszej granicy zachodniej. Wszy- stkie bowiem ziemie nadodrzańskie spie- tę rzeką Odrą stały się ponownie pol- skie.

Tak w dużym skrócie przedstawia- ją się dzieje Odry w tysiącletnim okresie naszej narodowej historii.



## Sceny miłosne w literaturze pięknej

— Nie zapalałam światła — mówiła dalej, prze suwając się ku wyłącznikowi, jak gdyby chciała go przekreślić — bo bałam się, że Melania zejdzie z tobą. — Zaczęła się bawić szlafrokiem, jak gdyby chciała zawrócić moje myśli ponownie ku tematowi, który ją najbardziej interesował.

Zdałem sobie nagle sprawę z tego, że byłoby rzeczą okrutną uciec nie okazując cdrobiny czułości.

— Naprawdę muszę już lecieć — powiedziałem puszczając płaszcz i kapelusz i przysuwając się ku niej. — Przykro mi, że akurat teraz muszę cię zostawić... w takim stanie... i chwyciwszy rękę, która miała zapalić światło, przyciągnąłem ją ku sobie i objąłem. Nie opierała się. Przez ciwnie, odchyliła głowę do tyłu i podała mi wargi. Wnet miałem język w jej ustach, a ona całym ciałem, rozluźnionym i ciepłym, przesuwając się gorączkowo ku mnie. „Pospiesz się, pospiesz się” — usłyszałem znów słowa Curleya. Będę szybki — powiedziałem sobie nie przejmując się tym, czy wykonam jakiś gwałtowny ruch, czy nie. Wsunąłem rękę pod jej szlafrok i zanurzyłem palce w jej kroku. Ku memu zdumieniu sięgnęła po mój rozporek, rozpięła go i wyjęła kutasa. Oparłem ją o ścianę i pozwoliłem, by położyła go na swej p... Była rozogniona, świadoma każdego ruchu, poświadczała władzę. Posługiwała się moim ciałem, jak gdyby był jej prywatną własnością.

Niezręcznie było wchodzić w nią na stojąco. — Położyłem się tutaj — wyszeptując padając na kolanach i pociągając mnie za sobą.

— Przecież się — powiedziałem widząc, jak gorączkowo uwalnia się z ubrania.

— No to co — odparła ściągając mi spodnie i wciągając mnie w siebie w pośpiechu — O Boże — jęknęła, znów zagryzając wargi i ściskając mnie za jaja, gdy powoli się w nią zanurzałem. — O Boże, daj mi go... wódt do końca! — dyszała i jęczała z rozkoszy.

Nie chcąc się natychmiast zrywać i chwytając za płaszcz i kaptur, zostałem w niej, z kutasem w środku, sztywnym jak taran. Była tam jak dojrzwały owoc, a miazga w środku niej oddychała. Wnet poczułem, jak turkocą dwie małe flagi, jakby kwiat się kolysał, a pieczęta ptaków była niewymowna. Ruszały się swobodnie, niezdyscyplinowanymi, konwulsyjnymi ruchami, ale łagodnie, niczym jedwabne flagi na wietrze. I nagle przejęła kontrolę nade mną; ścianami p... wyciskała mnie, szczypiąc i obejmując do woli, jak gdyby wyrosła jej tam niewidzialna ręka.

Leżąc całkiem bez ruchu, poddałem się zreczynnym manipulacjom. („Pospiesz się, pospiesz się”) — Ale przypominałem sobie wyraźnie, że mówił, iż żyje. Zawsze mogłem wziąć taksówkę, parę minut w te czy wewte nie grało żadnej roli. Nikt by nie podejrzewał, że po to zostałem.

(Czerp przyjemność, póki trwa... czerp przyjemność).

Teraz wiedziała już, że nie ucieknę. Wiedziała, że może przeciągnąć sprawę, ile tylko zechce, zwłaszcza leżąc spokojnie, p... tylko wewnętrzna p..., rżnąc beznamiętnym umysłem.

Dotknąłem ustami jej ust i zacząłem ją rżnąć językiem. Potrafiła wyczuć cuda swoim językiem, cuda, o których zapominałem. Czasem wsił zgiwała mi się do gardła, jakby chcąc, bym go polknął, czasem wyjmowała całkiem wsłuchując się wyciekającą w sygnały z dołu. Raz — nawet całkiem wysunęła kutasa, dając mu odetchnąć świeżym powietrzem, ale chwyciła go i znów wsunęła w siebie, rzucając się naprzód, że by dotarł do dna. Potem wyciągnęła go niemal do skraju jej p... i jak pies z wilgotnym nosem wąchałem ją czubkiem czubka. Tego było jej za wiele, zaczęła przeżywać orgazm, długo wstrzymywany orgazm, który wybuchnął miękko jak pięcioramienna gwiazda. Zachowałem zimną krew, że gdy wpadła w spazmy, ruszałem się w niej jak szatan, w bok, w dół i w górę, z powrotem, zanurzając się, wycofując, dżgając, rżnąc, absolutnie przy tym pewien, że nie wytrysnę, dopóki nie będę całkiem gotów.

Ale zrobiła coś, czego nie robiła nigdy przedtem. Zatraciwszy się w szale, gryząc moje wargi, moje gardło, uszy, powtarzając jak oszalały automat „Daj mi, daj mi, daj mi, daj mi, o Boże, daj mi, daj mi” przechodziła od orgazmu do orgazmu, posuwając, rzucając, unosząc się, kręcąc dupą, podnosząc nogi i okręcając je wokół mojej szyi, lejąc, warcząc, kwicząc jak świnią, a potem nagle całkiem wyczerpana, zaczęła mnie błagać, żebym skończył, żebym wystrzelił... „Strze laj, strzelaj... bo oszaleję”. Leżała jak worek owsa, zdyszana, spoccona, beznamiętna, zgrzana, a ja z rozmysłem przesuwałem ch... tam i z powrotem, gdy zaś przelewał już pieczę, ziemniaki, sos i przyprawy, wystrzeliłem w sam środek jej łona, niczym ładunek pod wysokim napięciem.

— W metrze starałem się przygotować na to, co mnie czekało. Podświadomie czułem, że Monie nie grozi. Prawdę mówiąc, nie byłem zaskoczony, od paru tygodni oczekiwałem czegoś w tym rodzaju. Kobieta nie może uduwać obojętności, gdy zagrożona jest cała jej przyszłość. Zwłaszcza kobieta, która czuje się winna. Nie wątpię, że zdobyła się na jakiś desperacki czyn, ale wiedziałem również, że instynktownie powstrzyma się od najgorszego. Najbardziej bałem się, że pokpiła sprawę z pracą. Moja ciekawość rosła. Co zrobiła? Jak to zrobiła? Czy planowała to wiedząc, że Curley ją uratuje? W jakim perwersyjnym sposobie pragnęła, by jej opowieść była przekonująca, nie chciałem usłyszeć śmiesznych, dziwacznych historyjek, które w moim niepewnym położeniu przywodziłyby mnie do histerycznego śmiechu. Chciałem tego wysłu chać obojętnie — wyrozumiały i smutny, bo czułem wyrozumiałość i smutek. Dramat zawsze dziwnie na mnie działał, zawsze uświadamiał mi śmieszność, szczególnie gdy krzyły się za nim motywy miłosne. Może dlatego w chwilach rozpacz y zawsze potrafiłem śmiać się z samego siebie. W chwili, gdy zdecydowałem się działać, stawałem się kimś — innym — aktorem. I zawsze, przed sadzałem w swojej roli. Przypuszczałem, że u pod staw tego dziwnego zachowania kryła się nieuleczalna apatia do ośzustwa. Nawet jeśli chodziło o ratowanie własnej skóry, oszukiwałem niechętnie. Złamać opór kobiety, sprawić, by cię pokochała, rozbudzić jej zazdrość, odegrać ją z powro

tem — nie byłem w stanie dokonywać takich w czynów choćby podświadomie, korzystając z do zwolonych metod. Nie odczuwałem tryumfu ani zadowolenia, dopóki kobieta nie podała się dobrowolnie. Zawsze byłem złym zalotnikiem. Łatwo się zniechęcałem, nie dlatego, że wątpiłem we własne siły, ale dlatego, że sobie nie ufałem. Chciałem, żeby kobieta sama do mnie przyszła. Chciałem, żeby się zalecała. Zbyt śmiałość mnie nie zrażała. Im obojętniej się oddawała, tym bardziej ją podziwiałem. Nienawidziłem dziewcz i kruchych kwiatuśków. La femme fatale — oto mój ideał.

Niechętnie przyznajemy, że bardzo byśmy chcieli być niewolnikami. Niewolnikami i panami jednocześnie! Nawet bowiem w miłości niewolnik to tylko przebrany pan. Mężczyzna, który musi zdobyć kobietę, podporządkować ją sobie, nagiąć do swej woli, układać z nią zgodnie ze swoimi pragnieniami — czyż nie jest niewolnikiem swe go niewolnika? Jakże łatwo kobieta w takim związku może naruszyć równowagę władzy! Zwy kła groźba samodzielnosci ze strony kobiety, a już chwacki despotyzm odczuwa zawroty głowy. Ale jeśli są w stanie rzucić się na siebie do u traty tchu, niczego nie ukrywając, oddając wszy stko, jeśli przyznają się sobie, że są wzajemnie uzależnieni, to czyż nie cieszą się dzięki temu nieoczekiwaną wolnością? Mężczyzna, który przy zna się przed sobą, że jest tchórzem, uczynił już krok ku opanowaniu własnego strachu. a

# SEXUS

Henry Miller



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

mężczyzna, który szczerze się do tego przyznaje przede wszystkim, który chce, by uznano w nim tchórzostwo i brano je pod uwagę — ten może zostać bohaterem. Często jest zaskoczony, gdy nadchodzi decydująca chwila, ponieważ okazuje się, że nie zna strachu. Przystawiając się bać, że uznany zostanie za tchórze, przestaje być tchór zem i trzeba tylko okazać, by przemiana stała się jasna. Tak samo w miłości. Mężczyzna, który przyznaje się sobie i innym a nawet uwielbia nej kobiecie, że można go sobie okieć wokół palca, że jest beznadziejnie wobec drugiej pici, zazwyczaj odkrywa, że jest silniejszy z nich dwoj ga.

Nie nie załamuje kobiety szybciej niż całkowite poddanie się. Kobieta jest gotowa na opór, na obietnice, bo tak ją wychowano. Gdy nie trafia na opór, pograża się po uszy w pułapkę. Zdolność całkowitego, pełnego oddawania się to najwięk szy luksus, na jaki nas w życiu stać. Prawdziwa miłość zaczyna się w takim momencie rozto pienia się. Życie osobiste w ogóle oparte jest na zależnościach, wzajemnych zależnościach. Społeczeństwo to zbiorowość jednostek, które są od siebie zależne. Istnieje bogatsze, inne życie, poza granicami społeczeństwa, poza osobowością, ale nie możemy go poznać, nie dostrzegamy tam nie po konaszyp przedniego światła i głębi osobistej dżungli. Żeby zostać wielkim kochankiem, magnetyzującym i katalizującym, pepkiem oświeca jącego świata, natchnieniem dla innych, trzeba wprzód przeżyć głęboką próbę wystawienia się na śmieszność. Żadna kobieta nie oprze się męż czyni, którego wielkość przynosi do dośmieszności i do ruiny. To znaczy, żadna ko bieta, która kocha. Jeśli zaś chodzi o te, które chcą tylko być kochane, które szukają tylko wła snego odbicia w lustrze, to żadna, nawet najwię ksza miłość ich nie zadowoli. W świecie tak zła

knionym miłości, nie ma się czemu dziwić, że mężczyźni i kobiety dają się oslepić blaskom i bliskom ich własnych, odbitych w lustrze jaźni. Nic dziwnego, że ostatnim dzwonkiem bywa wy strzał z pistoletu. Nic dziwnego, że loskot kół wa gonów metra, tnących ciało na kawałki, nie desty luje eliksiru miłości. W egocentrycznej bryle bez silna ofiara zamyka się w więzieniu własnego blasku. Osobowość umiera we własnej szklanej klatce...

Myśli moje pełzy jak raki do tyłu. Nagle sta nęła mi przed oczami Melania. Była tam zawsze, jak mglista naraść. Miała w sobie coś zwierzę cego i anielskiego zarazem. Zawsze kulasa, mówi ła przeciągle, mamrotała, śliniła się, a olbrzymie melancholijne oczy tkwiły jak gorące węgle w oczodolach. Należała do tych pięknych hipochon dryczek, które zatracać pleć nabierają tajem niczych zmysłowych właściwości istot, jakich peł no w apokaliptycznej menażerii Williama Bla ke'a. Była niezwykle roztrągnięta nie tyle w spra wach trywialnych codziennego życia, ile w spra wach własnego ciała. Zwykła chodzić po budyn ku, wykonywać nigdy nie kończące się obowiązki,

Ojej — odparła Melania — po co tyle hałas! Jestem pewna, że Henry'emu to nie przeszkadza — i posyłała mi ten melancholijny, zamysły ny uśmiech hipochondryczki. Połem szurała do swego pokoju, który Maude jej wydzieliła. Gdziekolwiek mieszkaliśmy, pokój Melanii był zawsze taki sam. Zawsze była tam Dementia zamknięta w klatce, uwieczona. Zawsze papuga w klatce, zaw sze parszywy pudel, zawsze te same dagerotypy, zawsze maszyna do szycia, zawsze mosiężne wez glowie łóżka i staroswiecki kufer. Zabalałanio ny pokój, który Melanii wydawał się rajem. Po kój wypełniony ostrym szczekaniem, piskiem przerywanym pieszczotliwym pomrukiem, ugła skiwaniem, tuleniem, urywaniem zdaniami, kwi kami oddania. Czasami, mijając uchylone drzwi, widywałem ją siedzącą na łóżku w samej koszuli z papugą na ręku, z psem kręcącym się koło przynęty między jej nogami. — Cześć — mówi ła patrząc na mnie niewinnym, pustym wzrokiem — Ładnie dzisiaj, prawda? — Czasami odpychała psa, nie tylko zawstydzona albo zażenowana, ile dlatego, że ją laskotał swoim diabolicznie wyra finowanym malutkim wilgotnym języczkiem.

Czasami zakradałem się do jej pokoju, żeby trochę powęszyć. Ciekaw byłem Melanii, listów, jakie otrzymywała, książek, jakie czytała, i tak dalej. Nic w jej pokoju nie było ukryte. Nic nie było dojeżdżone. Zawsze na podłuce pod łóżkiem było trochę wody, zawsze na kuftrze leżały nie dojeżdżone ciasteczka, albo kawałek tortu, który ugrzyła i zapomniała. Czasem na łóżku leżała ot warta książka, założona podartym bamboszem, a do jej ulubionych autorów należeli chyba Bul wer-Lytton i Rider Haggard. Interesowała się sztukami tajemnymi, a zwłaszcza czarną magią. Miała broszurkę o mesmeryzmie, najwyraźniej często czytowaną. Najbardziej zdumiewającego odkrycia dokonałem w jednej z szufladek sekre tarzka — gumowy przyrząd mógł mieć tylko jed no zastosowanie, o ile Melania w swej niewinnos ci nie wymyśliła innego. Może Melania zabawia ła się czasem z jego pomocą, jak to czyniły za konnice w dawnych wiekach, a może kupiła na pchlim targu, przeznaczając do niewiadomych ce lów w przyszłości — to wszystko było dla mnie tajemnicą. Nie było trudno sobie wyobrazić, jak leży na brudnej kapie w podartej koszuli i wsu wa lub wysuwa to ze swej szpary z roztrągnię nym uśmiechem na ustach. Mogłem sobie na wet wyobrazić psa, który liże soki ciekające jej po nogach. I obłąkający jazgot papugi, być mo że powtarzającej jakieś idiotyczne wyrażenia, któ rych nauczyła ją Melania, na przykład: „Toż to proste, kochanie” albo: „No ruszaj się, ruszaj”.

Dziwna była ta Melania, a choć postradała zmysły, rozumiała w prymitywny, niemal kazi rodczy sposób to, że seks jest wszędzie, jak je dzenie, woda, sen i oddiski. Denerwowało mi to, że Maude krepowała się w obecności Melanii. Kładliśmy się czasami na kanapie po kolacji, że by sobie urządzić krótkie rżniętko po ciemku, aż tu Maude zrywała się i włączała jedną z lampek — żeby Melania nie podejrzewała, o co nam chodzi, albo żeby nie zabiłała się przypadkiem z listem, którego zapomniata oddać przy śniada niu. Myśl o tym, że Melania mogłaby nas nakryć zniemacka, sprawiała mi przyjemność (powiedz my, że w chwili, gdy Maude się na mnie wspi na), wizja jej wejścia, podania listu, mojego dzie kuje z uśmiechem na ustach, krótkiej rozmowy o tym, że woda jest za gorąca albo o tym, czy Maude chce rano jajka czy ser. Miałbym niezłą frajdę, gdyby udało się wywinąć Maude taki nu mer. Ale Maude nigdy nie przynosiła się sama sobie, że Melania wie o naszych zbliżeniach. U znawszy ją za beznamiętną idiotkę, była przekonana, że tacy ludzie jak Melania nigdy nie myślą o seksie. Była pewna, że jej oczym nie utrzymy wół stosunków płciowych z tą pokrewną istotą. Nie wdawała się w szczegóły ale była tego pew na, a sposób, w jaki uciniała rozmowę, wskazy wał niedwuznacznie, że podejrzenie takie jest dla jej oczyma obraźliwe. Gdyby jej wierzyć, trze ba by uznać, że Melania celowo dostała kreka po to tylko, żeby pozbawić ojczyma życia płcio wego.

Melania miała do mnie słabość, zawsze stawa ła po mojej stronie, gdy się kłóciliśmy z Maude. Nigdy też nie czyniła mi wyrzutów z powodu wy zywającego niewłaściwego zachowania się. Tak było od samego początku. Maude starała się ją usuwać w cień na wstępie naszej znajomości. Bar dzo się Melanii wstydziała — tego chodzącego do wodu rodzinnej skazy. Melania zdawała się nie dostrzegać różnicy między dobrymi a złymi ludź mi, dysponując tylko jedną myślą przewodnią, natychmiastową reakcją na uprzejmość. Kiedy więc stwierdziła, że nie uciekam od niej, — gdy tylko otworzyłam ję, kiedy się przekonała, że po trafiły wysłuchiwać jej jęgotu bez zniecierpliwie nia, jak Maude, kiedy odkryła, że lubię jedzenie, piwo i wino, a zwłaszcza ser i mieloneki, gotowa była zostać moją niewolnicą. Czasami, kiedy Ma ude nie było, prowadziłam cudowne, gupawe rozmowy — zazwyczaj w kuchni, z butelką piwa na stole, kawałkiem wątrobianki i leidekranzu. Dając jej w takich wypadkach wolną rękę, otwie rałem na oścież nie znane rozdziały jej całkiem ciekawej biografii. „Oni” pochodzili zapewne z jakiejś niedorożniętej, zatwardziałej krainy, opodal potoków Wurzburgera. Kobiety zawsze wpadały, a mężczyźni szli do wzięcia za białost ki. Panowała atmosfera niedzielnego pikniku z kufkami piwa, kanapkami z pumpernika, szele szczącymi halkami, majtkami w koronkach i za błaknymi owieczkami... się radośnie na łać. Czasem miałem ochotę ją zapytać, czy kiedykolwiek pozwoliła szetlandzkiemu kucykowi, żeby ją przeleciał. Jeśli Melania sądziła, że ktoś po ważnie chce się czegoś dowiedzieć, odpowiadała bez wahania i na takie pytanie. Można było po tem przejść do pytań o komunę świętą nie zmie niając tonu. Przy bramie do jej podświadomości nie stał żaden cenzor, posłańcy przebiegali tu i tam bez żadnych formalności.

CDN

(Są to dalsze fragmenty prozy Henry'ego Millera pt. „Sexus”, w przekładzie Sławomira Ogall, opublikowane w miesięczniku „Literatura na świecie”, nr 3-6 br. Mielca wyk nakowane przy obsecenicznych wyrazach pocho dzą od redakcji).



# NASZE XXX lecie

W marcu 1989 roku odbył się w Kąkizimierz nad Wisłą pierwsze i jak się okazało bardzo potrzebne sympozjum prasoznawcze na temat regionalnych czasopism społeczno-kulturalnych, zorganizowane przez lubelski Oddział SDP oraz redakcję „Kamery”. Wzięli w nim udział zainteresowani redaktorzy tej prasy, przedstawiciele Wydziału Kultury i Biura Prasowego KC PZPR, ZG RSW „Prasa” i ZG SDP. Podstawowy nurt dyskusji na tym sympozjum stanowiły: kwestia profilu reprezentowanych na radzie czasopism oraz współczesnego pojęcia regionalizmu. W związku z tym zarysowały się na niej dwa dylematy: z jednej strony — jak dobrać do nich treści, z drugiej — jak dobrać do nich formę.

Jedni, m.in. J. Goczoł z Opola, twierdzą, że pisma regionalne winny być adresowane do możliwie szerokiego kręgu odbiorców, mniej lub bardziej związanych z tworzeniem kultury. Winne to być pisma nie tyle „sztabowe”, ile dla „podoficerów i oficerów liniowych kultury”. W tak dosyć szeroko pomyślanym modelu mieścić się więc mogą również materiały popularne, dalekie od elitaryzmu. Zgodnie z tą koncepcją, jednym z najistotniejszych zadań tej prasy staje się tworzenie aktywnych środowisk inteligentnych w macierzystym terenie. Inni zwolennicy bardziej elitarnego modelu tego typu pism sugerowali, że ich obowiązkiem jest spełniać przede wszystkim funkcję swoistego przedstawiciela opinii i dorobku własnych środowisk twórczych, kształtować kulturę pisarską i czytelnicką oraz przyswoić sobie wizję kultury w regionie. Wydaje się, że spór na ten temat nie został ostatecznie rozstrzygnięty do dzisiaj, jeśli założymy, że w odniesieniu do tych pism nie można stosować wyłącznie kryteriów ekonomicznych, podobnie zresztą jak do wielu innych faktów w dziedzinie kultury.

Także sprawa pojmowania regionalizmu, regionalnego charakteru omawianych czasopism była różnie widziana. W zasadzie nikt nie odstępował się wtedy od możliwości ścisłych związków z macierzystym regionem. Twierdzono, że w pewnym sensie nawet słusznie, że właściwie cała prasa społeczno-kulturalna w Polsce (także centralna) jest swoistą prasą regionalną. Różnice pojawiały się dopiero w sferze konkretnych postulatów, ujawniających przypisywany pojęciu „regionalności” zakres znaczeniowy. Tym cenniejsze więc były głosy przeciwności wobec próby nadawania swoistej pejoratywnej wartości woje wódzkiej prasie społeczno-kulturalnej, wskazujące, że pisma te nie tyle winny dublować prasę centralną, ile się z nią w ramach właściwie pojętego podziału celów i zadań harmonijnie uzupełniać.

Jednym z bardziej interesujących fragmentów dyskusji na sympozjum była polemiczna wymiana zdań między Romanem Karasim z lubelskiego „Sztandar Ludu” a doc. dr (dziś już profesorem) Tadeuszem Kupisem z Instytutu Dziennikarstwa UW. R. Karas krytycznie ocenił nie tylko ówczesną politykę redakcyjną regionalnej prasy społeczno-kulturalnej, określając ją jako pozbawioną prawdziwego zaangażowania i dojrzałości intelektualnej, ale i dojrzałości politycznej. Zważywszy na celowość kontynuowania dotychczasowej polityki prasowo-wydawniczej, polegającej na tworzeniu w poszczególnych województwach odrębnych tytułów społeczno-kulturalnych. Ze stanowiskiem tym polemizował Tadeusz Kupis, występując w obronie tej prasy, przy czym porównał ją do „młodego lasu bujnie rosnącego na porębieniu minionej polityki kulturalnej”, twierdząc, że regionalne ruchy społeczno-kulturalne stanowią nadal szansę wzbogacenia kultury narodowej i chronienia jej przed uniformizacją narzucaną przez tzw. kulturę masową. Kontrowersje wokół regionalnej prasy społeczno-kulturalnej później wybuchły jeszcze niejednokrotnie i do dzisiaj nie ma co do niej pełnej jasności, podobnie zresztą jak do wielu innych regionalnych placówek i instytucji kultury. Kładzie się to cieniem na jej współczesnym obrazie. Jak będzie, jak być powinno, nikt tego zbyt dobrze jeszcze nie wie. Wtedy jednak tą prasę obroniono i słusznie, odegrała ona bowiem w większości wypadków znaczącą rolę na swoim terenie w ciągu następnych lat.

WIESŁAW NODZIŃSKI

## Poezja mnożących się pytań

Na wydawnictwa będące prezentacją określonego okresu, modelu, kierunku twórczości literackiej, zawsze czeka się z niecierpliwością. Antologie kupuje się, zbiera, czyta, wreszcie — studiuje. Dobra antologia pozwala na prawidłowe znalezienie się w meritu problemu i poznanie go — jeśli nie głębokie, to zapewne rozległe.

W powodzi coraz to nowych nazwisk poetów, zjawisk poetyckich, fal, objawień, szkół, manifestów — zapropionowa przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą seria antologii przedstawiających dokonania poezji polskiej po 1939 roku, w układzie pokoleniowym — jest czymś absolutnie koniecznym i potrzebnym. W przygotowaniu znajdują się antologie pokolenia „Współczesności” i Rocznika '60. Na półkach księgarskich — i przede mną — książka poświęcona tzw. Nowym Rocznikom: „Poeta jest jak dziecko”, w wyborze i opracowaniu znawców najnowszej poezji, twórców i animatorów ruchu poetyckiego — Macieja Chrzanoskiego, Zbigniewa Jerzyna i Jerzego Koperskiego. Konsultantami wyboru byli — Krzysztof Gąsiorowski i Krzysztof Nowicki.

Wybór zawiera wiersze poetów zaliczanych do Nowych Roczników, debiutujących po roku 1974, a urodzonych po r. 1950. Ze względów redakcyjnych proces literacki ograniczono cesurą końcową — rokiem 1982. Zaprezentowano sześćdziesięciu autorów, spośród nich sześciu debiutowało w „Nadodrze”. Wiele z tych nazwisk weszło już w krwioobiegi polskiego życia literackiego, inne z kolei powoli wybijają się.

Jak twierdzą redaktorzy antologii — obserwacje wydawnictwa poetyckiego przelomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych pozwalały wyodrębnić twórczość Nowych Roczników określającą się w stosunku do poprzedzającego ruchu Nowej Fali „tyleż opozycyjnie, co aprobując (...), wspólna jest aksjologia (zwłaszcza w tej sferze, która dotyczy życia społecznego), wspólna jest też na-

cechowanie wypowiedzi poetyckiej, odmienny natomiast — ale w różnym stopniu indywidualny realizm językowy”. Jednym słowem — podobny w ocenie jest poetycki światopogląd, ale zupełnie różne „decyzje odnoszące się do sfery zachowań, reakcji”. Według Andrzeja K. Waśkiewicza — Nowe Roczniaki są generacją siłą. Generacja zawieszona pomiędzy pokoleniami silnymi, generacją o słabszej, jakby rozproszonej świadomości, powstałej w wyniku doświadczeń niejednoznacznych i rozciągniętych w czasie „Oficjalizacja i teatralizacja życia publicznego” po grudniu 1970 roku sprzyjała grze pozorów, zastępowaniu właściwego „ścieranie się postaw i idei”. Przyniosło to specyficzny stosunek do rzeczywistości i jednostki. Ogląd świata odbywał się poprzez jednorazowe czy może — po jedynce układy ocen, szeregowania, rozpoznanie, poprzez indywidualny system odczuwania, wrażeń, impresji. Młody demagog posiadał wiedzę o świecie nie na podstawie dogłębnych studiów, obserwacji i obiektywnej próby nazwania zjawisk, ale w wyniku własnych doświadczeń, generalizowania sobie tylko znanych i wiadomych strachów, zagrożeń, niepokojów. Rzeczywistość poprzez własny lek, a nie rzeczywistość sensu stricto. Zabrakło tożsamości jednostki i rzeczywistości, a przez to nastąpiło psychiczne wyalienowanie: „obszar zjawisk, który rozciągał się poza granicami „ja” i sferę jego kontaktów z innymi monadycznymi „ja”, już wcześniej wyinterpretowany został jako sfera zagrożenia”. Zagrożenia realnego, którego skutkiem, całkiem namacalnym, doświadczył poprzednicy (nowofalowcy — M.K.-M.).

Według Waśkiewicza — rzeczywistość obsesją tej generacji był kompleks manipulacji. Obecność w sporach pokoleniowych, często politycznych, zatracala sprawę najważniejszą — stworzenie nowej poetyki lub próby artykułowania wspólnych koegzystujących generacji problemów — w sobie tylko właściwy sposób, najczęściej z nowym horyzontem teleologicznym nakierowanym na tzw. enklawy względnej wolności, „war tości kulturowe, uniwersum kultury,

związek przyjacielskie, nieformalne mikrogropy społeczne”. Być może to było — nie do końca uświadomione — nadzieją „nowej prywatności” — zastanawia się Waśkiewicz. Pamiętajmy, iż takie stanowisko poetyckie niesie w sobie niebezpieczeństwo przesadnego eksponowania własnej osobowości, własnej biografii. Podobna optyka rzeczywistości jest obecna w prawie wszystkich poetyckich dokumentach prezentowanych w antologii. Charakterystyczne są np. wiersze Jana Krzysztofa Adamkiewicza, przedwcześnie zmarłego poety poznającego, oniryczne, penetrujące pejzaże podświadomości i sennego marzenia, chętnie posługujące się aksjomatami, a odbierające otaczający świat jak nierealność. To przemierzanie wymiarów zmienia też sposób widzenia prawdy dotąd niewzruszonych. W jednej z ballad — bohaterem lirycznym, zarazem katem i dobroczyńcą podmiotu, jego kreatorem jest:

„twój codzienny lek — tylko on  
nie traci nadziei i przyjaciół nie od-  
daje się śmierci umiera”.

Poezja Nowych Roczników nie ma ambicji obiektywnego przedstawiania rzeczywistości, ani tym bardziej modelowania jej. Zakompleksiona rzeczywistość kolejnych „królików doświadczalnych” (z wiersza Anny Janko) dana jest odbiorcy w jednym jednym, niepowtarzalnym akcie. Podobnie rzecz ma się w utworach zielonogórskich poetów. Czyli sejmograf Kurzawy rejestruje dane „i odruch”, nawet rani, ale nie jest ostrzeżeniem. Nie można popełnić błędów Chrystusa i dla idei dać się ukrzyżować. „Nie należy się wygłupiać”. Podobnie Czesław Markiewicz bezpośrednio artykułował wszystkie pokoleniowe prawdy. Określał się wobec świata jako jeden z Osuzkanych, rejestrujących to, co widoczne spoza zamkniętych powiek, zatykanych uszu, mówiący z zaciśniętymi ustami to, co dane było w filozofii przemilczanego doświadczenia. Żeby antytemem stało się zadość — jako spadkobierca doświadczenia intuicyjnego, przeczonego i... zaszczutego. Odnoszę wrażenie, iż zbyt mocno podporządkował się Markiewicz poetyce. Poetyce i zara-

zem — świadomości, że jakoby odkrył ją tylko dla siebie. Ale przynajmniej — niektóre z obrazów znamiona oryginalności mają do dziś. Jedynie działaniom starzenia i uproszczenia podlega cała sfera refleksji.

W almanachu znalazły się wiersze jeszcze trzech twórców związanych ze środowiskiem zielonogórskim. Jak je ocenić po kilku latach? Utwory Czesława Sobkowiaka i Mieczysława Warszawskiego wklajają się — moim zdaniem — w retorykę i przesadną dyskursywność; Sobkowiak akcentuje własne alter ego i przez to gubi zamierzoną wyżyźnioną, przeżyte — ograniczając się do notowania faktów i spostrzeżeń suchych, niepełnych, czasem, o zgrozo, sztampowych. Z kolei Warszawski tak mocno zagubił się w swych lingwistycznych kompleksach, iż przestał zauważać cokolwiek innego. Same zmagania słowa — by słowem wystarczyć za świat. Być może prezentowane wiersze nie są najlepsze w dotychczasowym dorobku obu poetów.

Największe wydają się dokonania Waldemara Mystkowskiego. Jego obrazowanie ma w sobie klimat, mroczność. Jest tu podświadoma fascynacja okrucieństwem, strachem, wielokrotnością powtórzeń i mnożeniem metafor. Odnoszę wrażenie, że Mystkowski poetyką bardziej tkwi w propozycjach nowofalowych i jednocześnie chce być bardziej sobą niż pozostali twórcy. Szuka własnego wyrazu, odwołuje się do mnożenia pytań bez odpowiedzi, nie jest zakompleksiony: „Trzecim dniem” wyraźnie odchodzi od jednostkowego doświadczenia w kierunku filozoficznego uogólnienia, refleksji.

W almanachu „Poeta jest jak dziecko” zaprezentowano kilku bardzo dobrych młodych twórców, wybijających się i utalentowanych. Jak na ich ile przed stawiają się zielonogórscy poeci? Nie są to oczywiście próby najwyższego lotu, lecz średni poziom krajowy. Ale cenny jest też fakt ich poetyckiego zaistnienia, ich bezustanne poszukiwania, zmagania z obrazem, słowem i samym sobą.

MALGORZATA  
KOWALSKA-MASŁOWSKA

„Poeta jest jak dziecko”. Poezja młodych: Nowe Roczniaki — antologia. Wybór i opracowanie: Maciej Chrzanoski, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Koperski. Młodzieżowa Agencja Wydawnicza. Warszawa 1987.



## Wymiary kultury

Kolejna książka pracownika naukowego Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze doc. Antoniego Klingera poświęcona jest zagadnieniom kultury na łamach prasy wolnomysłicielskiej lat 1928-1936 w Polsce. Autor tej pracy stwierdza we wstępie, że „Studium to ma na celu zrekonstruowanie stanowisk w przedmiocie koncepcji kultury, jakie prezentowali przedstawiciele polskiego ruchu wolnomysłicielskiego, a w szczególności: rozumienia terminu kultura, wartości kultury, celów rozwoju kultury, znaczenia naukowego poglądu na świat”.

Podążając wązki społecznie problem badawczy, A. Klinger stara się ukazać aktualność postulatów ruchu wolnomysłicielskiego w walce o demokratyzację i odnowę socjalizmu w Polsce Ludowej

w dziedzinie kultury. Wychodząc z tego założenia autor nie tylko odtwarza i przypomina postępowe tradycje ruchu laickiego w II Rzeczypospolitej, lecz również (i to jest szczególnie zasługa tej książki), ukazuje jego cele i wartości poprzez analizę teoretycznego dorobku publicystów i naukowców ruchu wolnomysłicielskiego.

Podstawą analizy są czasopisma wolnomysłicielskie tj. „Wolnomysłiciel Polski” (1928-1936), „Błyski Wolnomysłicielskie” (1933-1936) oraz „Racjonalista” (1930-1933) a także wybrane prace książkowe, nawiązujące do problemu badawczego. A. Klinger. Ustalenia publicystów i naukowców ruchu wolnomysłicielskiego okresu międzywojennego są wciąż żywe, aktualne i wartościowe, wnoszą cenne przemyślenia w programowanie oraz modelowanie teraźniejszości i przyszłości kultury narodu polskiego.

W rozdziale „Rozumienie kultury” autor wybrał dla potrzeb szerszej refleksji nad kulturą definicję Tadeusza Kotarbińskiego, według którego „Kultura jako zasób wytworów, osiągniętych w toku historii, obejmuje zarówno wytwory dodatkowe, jak ujemne”. I chociaż Kotarbiński wyraźnie preferuje dodatnie wytwory kultury, to zauważa zarazem, że człowiek pozostaje istotą twórczą i wtedy, gdy jego dzieła oceniamy ujemnie. Jest bowiem twórczy w sensie antropologicznym. Człowiek wreszcie — to podmiot kultury.

Miał rację Karol Marks, kiedy pisał, że „panujące idee są ideami panującej klasy”. Stąd też wiarygodnie należy ocenić wypowiedź L. Zamenhofa, który twierdził, że brak zainteresowania prze-

klasę robotniczą uczestnictwem w kulturze tkwi w „patologii kultury, w jej sztywności, w jej akademickiej „wyniosłości i niedostępności dla ogółu”. I dalej: „Dopóki hasłem życia będzie wszystko dla wybranych najwięcej nawet rozkwit kultury nie wystarczy dla unormowania stosunków międzyludzkich”.

A. Klinger opowiada się więc za powszechnym dostępem do kultury. Neguje elitaryzyczne wizje kultury. I słusznie. Kultura bowiem nie jest bytem ponadhistorycznym, nie można jej również mierzyć wyłącznie statystyką. Jej treść i wytwory kreuje realne społeczeństwo jako byt społeczny. Ważna więc rola w tym zakresie należy do społecznego ruchu kulturalnego — aktywnych grup i jednostek ludzkich oraz towarzyszących im. Taką rolę spełniały m.in. w okresie II Rzeczypospolitej Stowarzyszenia Wolnomysłicieli Polskich oraz Polski Związek Myśli Wolnej, których działalność omawia autor na łamach swojej książki.

Po II wojnie światowej do tradycji i założeń programowych obu tych organizacji nawiązały szeroko w swej działalności Stowarzyszenie Ateistów i Wolnomysłicieli, a obecnie Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej. To ostatnie preferuje i propaguje laicki, naukowy i humanistyczny sens i wymiar kultury w polskim społeczeństwie w oparciu o założenia marksizmu.

Zgodnie z przyjętymi założeniami książki A. Klingera zawiera — oprócz prognoz dotyczących kultury w Polsce Ludowej — także propozycje związane z kształtowaniem kultury w oparciu o określony system wartości. Autor wnosi

potrzebę syntetycznego opracowania teorii kultury, która „stanowić powinna naukową podstawę do prawidłowego prognozowania i kształtowania przyszłej kultury społeczeństwa o socjalistycznym charakterze”. Zarzty tej koncepcji znaleźć możemy w poprzednich pracach naukowych A. Klingera.

Jakie więc generalne zadania określa jej potrzebę teoretycznych opracowań polityki kulturalnej PRL? Pierwsze z nich to urzeczywistnienie pełnej demokracji w sferze kultury (powszechna dostępność dorobku i wartości kultury polskiej i światowej). Drugie zadanie to, tworzenie dóbr kultury, wyrastających z ideowych inspiracji socjalizmu. Wreszcie zadanie trzecie. Jest nim stałe pobudzanie i ożywanie aktualności kulturalnej społeczności poprzez ruch społeczno-kulturalny obywateli.

Prognozowanie polityki kulturalnej przez państwo nie może się obejść bez ustaleń nauki. Chodzi też o teorię kultury w odniesieniu do ustrojowych zasad i założeń państwa socjalistycznego. Popieranie więc naukowych badań nad kulturą stanowi ważny i niezbędny element polityki naukowej. Tylko wówczas możliwe jest optymalne planowanie i programowanie procesów kształtowania kultury jako systemu wartości i praktycznych kreacji. I za taką dyrektywę opowiada się również A. Klinger.

WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Antoni Klinger: Problematyka kultury w publicystyce wolnomysłicielskiej lat 1928-1936. Zielona Góra 1987. Wyd. WSP. Nakład 220 + 80. Stron 173. Cena 230 zł.



## TRWANIE I PRZEMIJANIE

Dokładnie 20 lat temu, ukończywszy studia na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, Adam Bagiński przyjechał do Zielonej Góry. Trafili dobrze, na „Złote Grono”, na wystawę dorobku Witkacego, Strzemińskiego, Chwistka, na sympozjum z referatami Starzyńskiego, Przybosa, Sandaera, na prezentację francuskiego ugrupowania „Architecture Prospective”. Zrobiło to na nim ogromne wrażenie. Zobaczył miasto w

jego kameralnej skali, czyste, otoczone zielenią. To wszystko zdecydowało, że osiadł w Zielonej Górze, począł wyznaczać się z akademizmem, prosił o swoje możliwości.

Adam Bagiński należy do grona najaktywniejszych malarzy lubuskich. Dotąd zorganizował 10 wystaw indywidualnych w Gorzowie, Koszalinie i Zielonej Górze, brał udział w prezentacjach zbiorowych na terenie kraju (Warszawa, Poznań, Kraków, Białystok i inne mniejsze ośrodki) oraz za granicą, m.in. w Jugosławii i NRD. Zdobył wiele nagród w konkursach plastycznych. Jego obrazy znajdują się w zbiorach mu-

zealnych i prywatnych. Będąc czynnym twórcą, wiele czasu poświęca pracy pedagogicznej jako nauczyciel w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych i konsultant Sekcji Plastyki Amatorskiej LTK.

Na początku listopada br. artysta wystawił w Galerii Sztuki PSP w Zielonej Górze 20 swoich najnowszych obrazów olejnych. I choć są to prace już inne, to jednak spójne z tamtymi z poprzednich lat. Bagiński bowiem konsekwentnie dąży do poznania istoty natury wraz z jej biologią, przenikaniem struktur i nieustannie zachodzącymi zmianami. Uważa, że przyroda, życie, całe otoczenie człowieka jest zmienne, ale jednocześnie jest to wielkie trwanie, a skoro tak, to mieści się w nim i przemijanie. Niemal wyłącznym przedmiotem zainteresowań artysty jest pejzaż, nie mający nic wspólnego z jego epickim zapisem. Twórca nie chodzi o to, by peizaż był realistyczny. Sytuację przestrzeni ma wyrazić u Bagińskiego napięcie formy, której jest podporządkowany kolor. Stara się on utrzymać całą swoją swoją pracę olejną w ogra-

niczonej gamie kolorystycznej, ale chętnie operuje światłem. Ta zawężona w barwach, lecz bogata w tonację kolorystyka nie zakłóca rytmu formy. Odbiorca ma wrażenie, że widzi chmurę, powiew wiatru, fale morskie, a to nie innego jak poruszanie się form w przestrzeni. Formy stale ulegają destrukcji i są wchłaniane przez ruchliwą materię. Tak artysta rozumie wieczny proces — trwałość i przemijanie. Zresztą obrazy Adama Bagińskiego można interpretować inaczej, w zależności od predyspozycji odbiorcy. Na pewno mają one niezwykłą siłę oddziaływania i wpływają na pobudzenie ludzkiej wyobraźni.

Na uroczystości otwarcia wystawy przybyło kilkadziesiąt osób, miłośników twórczości A. Bagińskiego i przyjaciół, co świadczy o tym, że artysta nie żyje w społecznej próżni. W odpowiedzi na te zainteresowania, malarz przekazał dwie akwarelki organizatorom loterii, prowadzonej od 1984 roku przez Galerię Sztuki PSP.

ALFRED SIATECKI



# VIDEO klub

## 007 raz jeszcze

Trzy numery wstecz pisałem, że filmy z Bondem nie są wyświetlane w państwach socjalistycznych na pokazach oficjalnych. Ale oto życie pokazało jakim szybkim zmianom podlega nasza rzeczywistość — zanim numer „Nadodrza” z powyższym stwierdzeniem ukazał się w kioskach przestało ono być zgodne z prawdą. Nie mam wyrzutów z powodu tej dezinformacji, niech to drobne wydarzenie stanie się znakiem naszych czasów — czasów wielkich przeobrażeń, na które spory wpływ mają nowe środki informowania, w tym i wideo. Otóż, kiedy drukarze składali tekst, w którym twierdziłem, że w ponad dwudziestoletniej historii „bondów” ani jeden z filmów tego cyklu nie uzyskał sobie prawa bytu w państwach socjalistycznych, o około tysiąc metrów od drukarni naszego pisma odbywały się już pierwsze seanse filmów z najsłynniejszym agentem świata. Na marginesie raz jeszcze chcę podkreślić, że nie reklamuję tu filmów z Bondem jako szczególnie atrakcyjnych czy wartościowych obrazów, ale moim zamiarem jest jedynie zasygnalizowanie zjawiska, które od lat funkcjonuje w kulturze masowej „drugiej części świata”. Poza tym w tym odcinku video-klubu nie sam „m jest najważniejszy, ale miejsce w którym go wyświetlano.

Już od kilku miesięcy nasza rubryka ma w Zielonej Górze znaczące sprzymierzenie — jest nim Videoklub w zielonogórskiej kawiarni „Bieriozka”. Video przestało być rozrywką dla wybranych szczęśliwców, każdy po wykupieniu biletu może uczestniczyć w seansie. Videoklub powstał w bardzo odpowiednim momencie w podupadłej kawiarni „Bieriozka”. Uważam, że była to bardzo mądra decyzja zielonogórskiego OPRF-u, która to decyzja wszystkim zainteresowanym przynosi stosowne korzyści. Salka byłej kawiarni mieści kilkadziesiąt osób i choć bilety nie są najtańsze (co

dziś jest tanie?), seanse odbywają się przy pełnej sali. Większość widzów stanowią młodzi. Film wyświetlany jest na dwóch monitorach, dobrze nastroszonych i widocznych z każdego miejsca (osobiście radzę jednak siadać jak najbliżej monitorów, oglądanie z dalszych rzędów po pewnym czasie zbyt męczy. Dla spragnionych ambitniejszego repertuaru jest video-DKF. Seanse DKF odbywają się w każdy piątek ale tylko dla posiadaczy kartonów. Za ten pomysł z przebraniem kawiarni nie leży się złota pęczatka.

Jeszcze o samym filmie. Oraz był reklamowany jako „Agent 007”, ale to za pewne z powodów komercyjnych. Rze czytamy jego tytuł brzmi „Nigdy nie schodź na dno”. Jak w wypadku niemi wszystkich „bondów” tytuł i tego brzm „poetycko” i zagadkowo. Gra w nim cała plejada gwiazd od Seana Connerya oczywiście w roli Bondy, po znakomitego Edwarda Foxa, Karola Marię Bran-

dauera i nikaraguańską piękność Barbarę Carrerę. Co można napisać o treści filmu? Jak w każdym z tego cyklu, jest w nim wiele wymyślnej techniki, strzelaniny, pogoni i wybuchów. Są spiski międzynarodowych szajek, jest też szalenie pragnący zawiązać światem przy pomocy dwóch głowic jądrowych, czarobiał świat w kolorze. Wszystko kończy się dobrze. Piękna wybranka Bondy nie zostanie uprowadzona przez spragnionych dżigitów, mechanizm detonatora unieruchomił Bond, a Sean Connery kolejny raz puścił do nas oko, biorąc tym samym swoje perypetie i nową wielką rolę w cudzysłowie umowności. To jest właśnie sympatyczne, że główny bohater jest autoironiczny, a film stanowi zaawansowaną parodię poprzednich serii. Kolejny raz dochodzimy do wniosku, że najlepszym wynalazkiem Anglików jest angielski humor. Stwierdzam to z całą powagą.

FAN



Słynnego superagenta grał również Roger Moore...

# camera filatelistica

## PRECZ Z KLIENTEM!

Czyni się u nas wiele aby Polak nie wierzył nikomu, a już najmniej władzy. Czołowe miejsce zajmuje tutaj b. Ministerstwo Łączności, które ostatnio dorzuciło nie cegiełkę, ale duży betonowy blok do swoich nieodpowiedzialnych poczyni. Z okazji tegorocznej wizyty Jana Pawła II w Polsce b. Ministerstwo Łączności na część swoich wydawnictw wprowadziło specjalny abonament przyjmowany przez wszystkie urzędy pocztowe i złożyło deklarację, że wydawnictwa te będą wydawane do końca sierpnia br. Spotkało się to ze zrozumiałą krytyką nie tylko środowiska filatelistów, bo prawie trzymiesięczny okres wyczekiwania na pamiątki z podróży po Polsce papieża to trochę za długo. W normalnie funkcyj-

nujących społeczeństwach taką usługę wykonuje się w ciągu 2-3 tygodni. Ale minął sierpień i żaden urząd pocztowy w Polsce nie rozpoczął wydawania zaobowiązywałych walorów filatelistycznych. Ostatnio w tygodniku „Łączność” (nr 38 z 20.09) ukazała się informacja, że „Ministerstwo Łączności przedłużyło termin realizacji zamówień do 31 stycznia 1988 r.” W ten prosty sposób wszyscy abonenci zostali nabici w przyszłościową butelkę, bo na zamówione walory oczekiwali partnerzy z innych państw. Stracano nie pierwszą już szansę zaprowadzenia polskich walorów filatelistycznych za granicę. Narazono na poważne straty wielu abonentów. Wytrawni handlarze wystali przesyłki do osteplowani i już od lipca sprzedają je zainteresowanym. Ta incydentalna sprawa, która oburza na pewno 300.000 filatelistów, a znacznie więcej zbieraczy pamiątek papieskich jest potwierdzeniem ciągle jeszcze trwającego procesu niespójności między deklaracjami a ich realizacją, braku szacunku do klienta.

Myszę, że na tym przykładzie nowo powołany resort powinien rozważyć możliwość utworzenia wreszcie Zarządu Filatelistycznego lub Centrum Filatelistycznego (nazwa jest tu najmniej ważna), który poważnie zająłby się zarówno obsługą krajowych jak i zagranicznych zbieraczy, podjął

działalność promocyjną polskich znaczków za granicą i rozpoczął ich sprzedaż na własny rachunek, a nie za pośrednictwem różnych mało operatywnych pośredników. Tego rodzaju służby filatelistyczne posiada już każda szanująca się administracja pocztowa na Zachodzie Europy. Wreszcie wpływy dewizowe umożliwiłyby zakup nowoczesnych maszyn i budowanie własnych zakładów drukarskich, a nie oczekiwanie na łaskawą zgodę przyjaciela i wykonania nakładu poszczególnego znaczka przez Państwową Wytwórnę Papierów Wartościowych. Zresztą już dzisiaj część polskich znaczków drukowana jest w NRD, bo podobno to taniej kosztuje niż w kraju, a jest w terminie wykonania.

Tego rodzaju wyspecjalizowana służba pocztowa byłaby odpowiedzialna za właściwą obsługę stale rosnącej rzeszy filatelistów. Mogłaby sprzedawać znaczki rocznikami w specjalnych klaserkach, wydawać karty maximum, a nawet produkować pakiety polskich znaczków zarówno czystych jak i stemplowanych, prowadzić abonament na wszystkie znaczki, także na tematyczne czy motywowe itp., a więc zarabiać i pomnażać dochody pocztowej właściwie obsługując klienta — filateliste.

M. SŁAWOMIR

## Muzeum Ziemi Lubuskiej

Przed 30 laty decyzją ministra Kultury i Sztuki muzeum w Zielonej Górze podniesiono do rangi Muzeum Okręgowego. Do tego czasu powstałe w 1945 r., miało ono charakter miejskiej placówki z podległego oficjalnie Muzeum Narodowemu w Poznaniu. Jej usamodzielnienie pozwoliło na określenie profilu, a co za tym idzie — przyznanie dodatkowych pomieszczeń. W 1973 r. zakończył się długotrwały remont gmachu przy al. Niepodległości, w 1978 roku — jego rozbudowa.

Obecnie w gmachu głównym Muzeum Ziemi Lubuskiej znajdują się przestronne sale ekspozycyjne, pracownice naukowe i magazyny. Działy historyczny i winiarski, gromadzą dzieła i pamiątki przeszłości związane z Zieloną Górą, uprawą winorośli, a także przygotowują ekspozycję, która w niedalekiej przyszłości zostanie przeniesiona do powstającego Muzeum Historii Miasta Zielonej Góry. Dział sztuki współczesnej kolekcjonuje dzieła plastyczne środowiska lubuskiego i wybitnych polskich twórców, m.in. Jana Berdysaka, Andrzeja Gierag, Marię na Kruczkę, Kajetana Sosnowskiego, zebrane w galeriach autorskich, Muzeum Ziemi Lubuskiej prowadzi działalność wydawniczą i popularyzatorską, naukową i oświatową.

## Co dalej z amfiteatrem?

Kiedy osiem lat temu gorzowianie fundowali sobie olbrzymi amfiteatr, nikt się nie zastanawiał, czy obiekt ten będzie w pełni wykorzystany. Odbywają się tam nieliczne imprezy, np. „Dni Gorzowa”, „Regae nad Wartą”, ale przez większą część roku amfiteatr stoi pusty. Brak mu zadania, zaplecza, ogrodzenia, a koszty utrzymania są bardzo wysokie. Ostatnio władze miejskie zaczęły myśleć, co zrobić z obiektem. Podobno ma powstać spółka impresaryjno-koncertowa, która zajmowałaby się eksploatacją amfiteatru, jego modernizacją i zagospodarowaniem. Spółka czy raczej jej pomysłodawcy widzą możliwość prowadzenia działalności kulturalnej poza Gorzowem. Jednym z założycieli spółki mógłby być gorzowski Wojewódzki Dom Kultury, a akcjonariuszami osoby prywatne i zakłady pracy. Zależy to jednak od decyzji władz miejskich.

## Jazz nad Wartą

Tradycje jazzowe Gorzowa sięgają I Konfrontacji Kulturalnych w 1967 r., kiedy to w ZDK „Chemic” wystąpili artyści tej rangi, co Włodzimierz Nahorny i Zbigniew Namysłowski. Dziesięć lat temu przy Gorzowskim Towarzystwie Muzycznym powstał klub jazzowy i od tego czasu w szybkim tempie rozwija się jazz w Gorzowie. Klub jest jednym z organizatorów „Pomorskiej Jesieni Jazzowej”, która odbywa się w kilku miastach Polski północnej. Tegoroczną „Jesień” rozpoczął jam session z udziałem wielość uczestników imprezy. Potem wystąpiły zespoły — laureaci tegorocznych festiwali jazzowych („Backward Glance”, „Zo Zo”, „Maiden Voyage”, „Ragtime Du”, „Stand’art”).

## Nagrody teatralne

Zdaniem czytelników „Ziemi Gorzowskiej”, najlepszym spektaklem Teatru im. Juliusza Osterwy w ubiegłym sezonie było „Wesele” w reżyserii Wiesława Górskiego, ze scenografią gorzowian — Ewy i Wiesława Strebeków. Za najlepszego aktora czytelnicy uznali Wojciecha Deneke, odwołując się do „Iwone księżniczce Burgunda” i „Weselu”. Oddział Towarzystwa Kultury Teatralnej w Gorzowie swoją nagrodę przyznał Alinie Horanin — Królowej Małgorzacie w „Iwone księżniczce Burgunda”.

# nadodrza

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 63-067 Zielona Góra, pl. Bohaterów Stalingradu 13, i p. oraz adres dla korespondencji: 63-058 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redaktor naczelny i sekretariat 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 1 (łączy telefon wewnętrzny). Telex 043258. Redaguje zespół: Halina Ańska-Skarbek, Lucyna Grabowska, Leszek Hermanowicz (red. graf. techn.), Michał Horowicz, Janusz Koniusz (red. naczelny), Małgorzata Kowalska-Masło-

# nadodrza

## Konkurs LTF

Na drugi w tym roku konkurs Lubuskiego Towarzystwa Fotograficznego wpłynęło 130 prac 13 autorów. Na wystawę jury zakwalifikowało 113 prac 12 autorów. Pierwszej nagrody nie przyznało. Dwie drugie otrzymali — Radosław Kłosiński za pracę „Przed rejsem” i „Stare mury” oraz Zbigniew Szczepny za pracę „Przystań”. Laureatami trzecich nagród zostali — Ryszard Poprawski, autor pracy „Architektura Zielonej Góry” i Mirosław Krzyżanowski za zdjęcie „Zachód słońca nad Bałtykiem”. Jury wyróżniło prace Zbigniewa Rajche i Zbigniewa Pietraszkiewicza, a dyplomy przyznało Bronisławowi Bugłowi i Pawłowi Janczarukowi.

## Z żałobnej karty

W Międzychodzie zmarł Józef Kinal, kapelmistrz orkiestry dętej. Urodzony w Zbąszyniu w 1931 r., całe swoje życie związał z Międzychodem, gdzie m.in. założył zespół pieśni i tańca, społeczne ognisko muzyczne, reżyserował chór „Lutnia”, współorganizował przeglądy orkiestr dętych. Za swoją działalność otrzymał wiele odznaczeń i nagród, wśród nich nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki.

## Zaprosili nas

Polskie Towarzystwo Ekonomiczne na Kongres Ekonomistów Polskich do Katowic na sympozjum „Powrót nad Odrę, Nysę, Łużycę i Bałtyk — czynnikami zespoleńia narodu polskiego, czy szansa ciągle jeszcze nie wykorzystana?”. Komitet Wojewódzki PZPR w Zielonej Górze na uroczysty koncert z okazji 70 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Oddział Wojewódzkiego Stowarzyszenia „Pax” na uroczystość jubileuszową 30-lecia Stowarzyszenia na Ziemi Lubuskiej; Urząd Miejski w Kielcach na seminarium z okazji 70 rocznicy Rewolucji Październikowej; Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Zielonej Górze na inaugurację Dekady Książki Społeczno-Politycznej; Zagłębski Pałac Kultury na otwarcie wystawy prac Jana K. Wiślickiego; Gdański Kantor Sztuki na wystawę leningradzkie awangardy lat 80.; Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich w Zielonej Górze na Walne Zebranie; Teatr im. Juliusza Osterwy w Gorzowie na „Ciężkie czasy”; Lubuski Teatr im. Leona Kruczkowskiego w Zielonej Górze na „Pożarcie królowej Pluettki”; Biuro Wystaw Artystycznych w Gorzowie na wystawę prac Piotra Kunce i Romana Zysulskiego; Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Zielonej Górze na sesję „Życie i twórczość Jakuba Barta Ciśńskiego”; Zarząd Okręgu Polskiego Związku Filatelistów na Walne Zebranie.

# KLUBOWE WIZYTÓWKI

## Społeczne rady

Przy zakładaniu klubów prasy i książek RSW, przyjęto zasadę, że właściciele obiektów, to znaczy terenowe jednostki administracji państwowej, państwowe gospodarstwa rolne i inni posiadacze nieruchomości, którzy chcieli mieć u siebie te nowatorskie na owe czasy placówki, zapewnią odpowiednie pomieszczenia, „Ruch” zaś dostarczy wyposażenie, sprzęt, urządzenia handlowe i towar do sprzedaży. Natomiast w myśl wielu różnych porozumień zawartych przez „Ruch” z wieloma instytucjami i organizacjami, które powinny patronować ruchowi klubowemu, działalność kulturalno-oświatową w samych klubach miały zajmować się specjalne organy powołane z wyboru, tzw. społeczne rady klubu.

Rady klubu, jak sama nazwa wskazuje, są to po prostu kilkuosobowe zespoły społeczników, działaczy klubowych, członków ZSMP, ZMW, KGW, działaczy OSP, nauczycieli itp. Organy te powinny w założeniu stanowić ciała programowo-doradcze i służyć radą oraz pomocą dla gospodarzy klubów. Jeżeli taki zespół dobranych ludzi działa aktywnie, praca gospodarza staje się łatwiejsza, a działalność kulturalno-oświatowa bogatsza i wszechstronniejsza. Rada klubu może bowiem kolektywnie opracowywać plany i programy działalności swojej placówki i nadawać kierunek rozwojowi określonych form kulturalnych. Mogą to być na przykład dziecięce teatry amatorskie, teatry młodzieżowe zwane też

teatrami przy kawie, kabarety, działalność plastyczna, praca z dziećmi, wystroju wizualny klubów, gry i zabawy, dyskoteki oraz wiele innych przeróżnych form pracy kulturalnej zgodnych z możliwościami środowiska. Wszystko więc zależy od inicjatywy i przedsiębiorczości zespołów oraz przewodniczącego, który nim kieruje.

Rada klubu, jak już powiedziałem, poza programowaniem, powinna być również kolektywnym doradcą i aktywnym pomocnikiem każdego gospodarza, co leży w interesie środowiska. Obowiązki tego ostatniego są rozległe i bardzo różnorodne. Absorbująca jest przede wszystkim działalność handlowa, która zabiera większość czasu i nie pozostawia wiele miejsca na pracę merytoryczną. W działalności handlowej żaden gospodarz klubu nie może być zastępowany przez nikogo, ponieważ ponosi on odpowiedzialność materialną za powierzony towar. Natomiast jest możliwe takie zastępstwo w działalności merytorycznej, i to w myśl założeń powinna czynić społeczna rada klubu.

Czy jest tak istotnie? Nie zawsze i nie wszędzie. W dawnych latach, gdy powstawały pierwsze kluby i były one dużą atrakcją, wybierane społeczne rady stanowiły aktywne i przeważnie bardzo zaangażowane ciała społeczne. Dziś to się zmieniło. Kluby wrosły w pejzaż wsi lubuskiej, stały się powszechne i nie co się przeżyły. Przeżyły się też trochę i

spowszechniały społeczne organy programowe — doradcze, jakimi są rady klubów. Większość dobrze dawniej pracujących rad klubowych dawno już nie istnieje, lecz przecież powstały nowe, które ciągle z rozmaitych powodów ulegają dalszym zmianom.

Teoretycznie, w każdej z trzystu placówek prasy i książki na Ziemi Lubuskiej, istnieje społeczna rada. Tak jest teoretycznie, ale w praktyce wygląda to inaczej. Zaledwie w kilkudziesięciu placówkach rady klubów pracują naprawdę. W pozostałych istnieją tylko na papierze...

W tych placówkach, w których rady pracują intensywnie, działalność kulturalno-oświatowa jest bogatsza i bardziej urozmaicona. Można tu przytoczyć niektóre przykłady, jak chociażby w: Chotkowie, Chwaliszewicach i Zarkach Wielkich — oddział zarski, Nowym Kramsku, Swarzewicach i Karszynie — oddział sulechowski, Łagowie i Białkowie — oddział krosieński, Lipinach — oddział nowosolski, Niwiskach, Letnicy, Łęczycy i w Suchoj — PUPIK Zielona Góra oraz w wielu innych.

W wymienionych tu przykładowo klubach rozwija się bogate życie artystyczne, organizowane spontanicznie przez miejscowe środowiska, odbywają się też prelekcje organizowane przez Towarzystwo Wiedzy Powszechnej oraz spotkania z pisarzami i dziennikarzami.

Część z dorobku kulturalno-oświatowego można rzeczywiście przypisać społecznym radom i gospodarzom klubów, którzy obligatoryjnie wchodzi w skład swojej rady.

ZENON CZARNECKI



Myszę, że każde pokolenie gnębi jakiś kompleks. Z całą pewnością wiem, że moje pokolenie cierpi na kompleks lat sześćdziesiątych i końca lat pięćdziesiątych, słowem całego tego boomeropopadziernikowego. Jak to wytłumaczyć? Nie wiem.

Nie znam w Warszawie dziewczyny, która nie wzdychałaby ciępiętniczo; wiersz, urodziłam się bez sensu, w tym czasie.

Matkę mojej przyjaciółki „wprowadził w życie” Leopold Tyrmand. I za nim w 1965 roku wyjechał z Polski „wprowadził” ją w chwałę w latach sześćdziesiątych (patrz: Dzienniki). Chociaż po prawdzie o panu Tyrmandzie więcej do wiedziałam się w domu przyjaciółki niż z jego dziennikowych wyznań.

Matka innej mojej przyjaciółki, zwaną z filmem, zaprzyjaźniona jest z twórcami „szkoły polskiej”. Razem z nimi stawiała pierwsze kroki w zawodzie. A jej miłością największą był wówczas, niezapomniany Andrzej Munk, z którym zresztą współpracowała przy najważniejszych filmach. No i czasami, jeśli uderzymy w odpowiednią strunę, udaje nam się wyciągnąć patnią J.Z. na wspomnienia, raz po raz przerywane naszymi „och” i „ach”. I smutno nam, że urodziłyśmy się w zły czas i ciut za późno, że to nie my i, że nie nas...

Dziewczyny po polonistycie warszawskiej do dzisiaj kochają się w Marku Hłasce albo w Zbyszku Cybulskim. I rozpaczają, że ich chłopak nigdy nie będzie autorem „Osmego dnia tygodnia” ani Jackiem z „Do widzenia, do jutra”. Niejedna dziewczęca liza spoczęła na białych prac dyplomatycznych o Hłasce, a jego ulubiona melodia „ferajna tańczy, ja nie tańczę” nie raz kołysze te dziewczyny do snu. Myszę sobie czasem, że inne — chciałoby się rzec poważniejsze — fascynacje literackie ja koś szybko przemijają. Pamięć o bohaterze i autorze w jednej osobie „Pięknych dwudziestolatków” trwa.

Po październiku 56 r. modne stały się „ciuchy”. Jak mawia Agnieszka Osiecka, bez „ciuchów” nie mieliśmy pisarstwa Leopolda Tyrmanda i ideologii Barbary Hoff. I cóż? Mamy rok 1987, a tradycja „ciuchów” jako żywa, kwitnie. Dzwonię w sobotnie wieczne przedpołudnie do przyjaciółki i mówię: „Słuchaj, może poszłybyśmy do kina, w „Wiedzy” idzie „Obywatel Kane”? Ona na to: wiesz, żałuję, ale właśnie jedzie my z B. na ciuchy.

Na „ciuchach” ubierają się wszystkie najlepsze dziewczyny w Warszawie. Demotowskie „ciuchy” to dzisiaj wielki kombinat handlowy i miejsce towarzyskich peregrinacji. Można tu spotkać „kobiety luksusowe”, przedstawicieli świata interesu, młodzież modelki (patrz: Bogna Sworowska, tegoroczna vice-Miss Polonia), jak również milieu artystyczne. Sama parokrotnie natknęłam się tu na swego znajomego, młodego kompozytora, autora muzyki filmowej, Przemysława Gintrowskiego, czy popularnego aktora Bogusława Lindę. „Kobiety luksusowe” i przedstawiciele szerokiego pojęcia świata interesu krąży w tej części targowiska, gdzie można kupić suknie powyżej stu tysięcy złotych, płaszcze od dwustu tysięcy wwyż, buty za... Dostę. Nie zamierzam drażnić miłych czytelników. Nas jednak, którzyśmy nie podurnieli i nie zmieszczaliśmy, czyli młodzież akademicką (patrz: ASP, UW, PWST — kolejność dowolna) i post-akademicką (tj. te, która jedną nogą jest już w dorosłym życiu ale z powodu trudności z odnalezieniem się w nim, drugą tkwi nadal w świeżej jeszcze i rumianej nie dawnej przeszłości studenckiej („jak zatrzymać czas?”), interesują zupełnie inne tamtejsze rewiry. Mianowicie tak zwane „dziadowo” i leż. rozkoszy dostarcza przebieganie w ciuchowej starzyźnie. Tu znaleźć można rzeczy rodem z amerykańskiej UNRRY, babine jedwabie z dwudziestych i trzydziestych lat, czarne tafty naszych mam, kołnierze, skórzane okrycia — mocno nadzarcnięte zębem czasu (patrz: płaszcze w stylu punk), no i w ogóle różne różności. Wszystko to wyprane, wyczyszczone, odpowiednio podłożowane i odowane staje się wykwintną suknią balową, modną przyszywankiem na co dzień itd. itp.

Zastanawiam się czy wiele zmieniło się w gustach muzycznych mojego pokolenia. Bo, że w muzyce młodzieżowej w ogóle — to oczywiście. Może jesteśmy pojmniejsi, jeśli idzie o upodobania muzyczne niż lata sześćdziesiąte. Bo i tempo życia jest inne, i my znowu nie tak całkiem tamtejsi. Ale ręczę — i mam na to dowody — że w niej jednej to no i płytotece domowej moich przyjaciół znajdują się kawalki z okresu swing. Sama należę do szczęśliwych posiadaczy nagrań Bille Holiday.

Tak się rozpisalam o tym i owym, a przecież chciałam jakoś inaczej. Chciałam o tym, że pokolenie, którego róż-

kwit przypadł na przełom lat 50/60, było o całą gamę odcieni ciekawsze. To pokolenie poczęte przed trzydziestym dziewiątym rokiem (tuż, tuż i wcześniej) pokolenie którego pookupacyjne losy są często przedmiotem naszych uniwersyteckich analiz, eksplodowało po październiku — jak żadne inne w powojennej Polsce — urodzajnie. To pokolenie, które — jak mawiał Bogumił Kobela — kieleckie i rzeszowskie trzyma za nogi, stało się rzeczywistą awangardą. Jego reprezentanci zapoczątkowali nową literaturę, nowe kino, nową sztukę, nową modę, ba... nowy styl bycia. Stworzyli „Piwnice pod Baranami”, „Bim-Bom”, „STS”, „Cricot” etc. Prógowali nową (wobec zetempowskich kujawiaków i oberków) muzykę. Nie kryje zazdrości, że mój dobry znajomy, dziś wybitny znawca i reżyser Becketta w Polsce — Antoni Libera, wyrósł z chłopięcych portek na tyle wcześniej, by zatrzymać w pamięci ich twarze, rozmowy, strzępy rozmów. Zdążył przed narodzinami legendy o nich. Jestem szczęśliwa, jeśli mnie z rzadka zdarzy się uchwycić cień cienia tamtych lat.

Czasem, kiedy Tadeusz Konwicki dozwoli mi zasiąść przy swoim stole w kawiarni „Czytelnika”, kiedy podczas nadmorskich wakacji trafię do letniego domu Wandy Warskiej i Andrzeja Kurylewicz, kiedy spotkam Piotra Skrzyneckiego, kiedy do domu mojej matki zawita Ziemowit Fedeki, kiedy... Syce się wówczas dowolę dnem teraźniejszym tych którzy tworzyli wczoraj.

Lza się w oku kręci gdy pomyślę, że kiedy my przywdzialiśmy studenckie czepki, chłoni i otwarcia na świat, spragnieni osobowości, gwałtownie zaczęło ich ubywać. Niekiedy zabrakło już wcześniej, za wcześniej. Hasko, Cybulski, Kobela, Swinarski, Munk. My tak bardzo pragnęliśmy zatrzymać ich imiona.

Ale był czas, kiedy ONI przyszli do nas. Odwiedzali nas w aulach Uniwersytetu, w pracowniach Akademii, w salach PWST, w łódzkiej PWSTIF. Zryw odbierali naszą radość, sami jakby młodzi. My natomiast nie mogliśmy nie zauważyć skrywanego przez nich niepokoju. Byli od nas wszakże mądrzejsi, mądrością czasu. Zeszliśmy się na krótką chwilę.

DZAMILA ANKIEWICZ

## Moja Głębokość

**CZŁOWIEK PRZEDSIĘBIORCZY?** W n-rze 9 pisma „Reporter” Janusz Atlas w tekście pt. „Nadredaktor” opisuje swoje kontakty ze znanymi nie tylko w Gorzowie ex-dziennikarzem ngr Wiesławem Przybyłowiczem. Ten obrotny człowiek zyskał u Atlasa wiele szacunku. „Przybyłowicz nadal ciągle jest w podróży. Pojawia się tam, gdzie wiadomo, że mogą być pieniądze. Targi, wybory Miss Polonia, festiwale. Nie ma już rodziny, a ta dawna jak najszybciej chciałaby o nim zapomnieć.

Kiedy piszę te słowa, on zdążył już „głęboko” i kogoś nabiera, wyłudza forsy albo udaje milionera.

Ludzie, z którymi rozmawiałem na je go temat, uśmiechają się tłumacząc mi, że to przecież w gruncie rzeczy osobnik nieszkodliwy, tyle że mało zrównoważony. Ale mój wieloletni kolega po piórze, milioner, playboy, szlifierz diamentów Wiesław Przybyłowicz nie jest idiotą. Popamiętajcie moje słowa! Święta prawda! Janusz Atlas pisząc swój tekst, nie wiedział, że pomiędzy pobytami w Opolu i Sopocie, odwiedził on również Zieloną Górę, złożył wizytę władzom oraz przebywał w naszej redakcji. Wieczorem wydał uroczystą kolację „Polanie” dla swoich przyjaciół, poczem spędził noc w areszcie, ja ko że okazał się niewypalany. Następnie stanął się przed Kolegium przy Prezydencie Miasta, gdzie zachował się jak prawdziwy dzentelmen. Grzywnę jakimś cudem udało mu się uiszczyć. To się nazywa przedsiębiorczość!

**KRYTYCZNIE O ROZMOWACH I WYWIADACH.** Kazimierz Kozłowski w publikacji „Sporo czy monologi” („Zywiec Literacki” nr 46) krytycznie odnosi się do fali wywiadów i rozmów, jakiego ogarnęła polską prasę i książkowe wydania. Jako negatywne przykłady wywiadów — rzek wymienienia rozmowy Stanisława Beresia ze Stanisławem Le mem czy Jana Bijaka z Mieczysławem F. Rakowskim z książki „Czas nadziei i rozczarowań”. Zaraz potem autor na wiązuje do książki Jacka Trznadla i jego rozmów z niektórymi twórcami, pisząc iż ukazała się ona na świecie „z drugiego obiegu”. Rakowski w drugim obiegu? To się nie mieści w głowie.

**WIECZNY TULACZ ROZENFELD.** Ha nna Krall w tekście pt. „Rozenfeld” („Res Publica” nr 3) opisuje tulacze lo sy Aleksandra Rozenfelda, poety niegdyś mieszkającego również w Zielonogórsku. „Wskutek amnezji pamięta tylko niektóre rzeczy, mniej nieprzyjem-

ne od innych, a i te nie po kolei — kon statuje autorka. — Na przykład pracę w Świebodzinie polegającą na zbieraniu wśród chłopów składek ciotkowatych ZSL. Zalatwił mu ją działacz ludowy, którego córkę poznał w kawiarni „Telimena”. Dzięki owej mu spotkaniu córka działacza urodziła Rozenfeldowi córeczkę, zaś powiat świe bodziński wysunął się na pierwsze miej sce w całym województwie”. Potem był Izrael, Lublin, Rzym. A gdzie dziś jest autor pięciu tomików poetyckich? — człowiek bez stałego miejsca zamieszkania.

**SPOSTONOWANY?** Pracownik nauki wy zielonogórskiej WSP dr Czesław P. Dutka opublikował cenną książkę pt. „Mit i gest. Bohater kordianowski przy rozrachunkach inteligentnych”. Niejaki R.B. w 10 zeszytach „Odry” pisze: „Nie sposób omówić tej publikacji sze rzej w krótkiej nocie, ale z pewnością można ją polecić czytelnikom zajmującym się profesjonalnie literaturą lub ją studiującym. Właśnie im, gdyż dla miłośników krytyki esejistycznej zbyt nu żący może okazać się terminologiczny i metodologiczny sztafaj, choć jest u sprawiedliwiony tym, że książka pisa na była jako praca naukowa.” A co? Miała to być gawęda na poziomie felie tonów Urszuli Koziół?

**WSPOMINAJĄC PAPUSZĘ.** W lubelskim kwartalniku „Akcent” (nr 3), poświęconym pograniczu narodów i kul tur, ciekawy szkic Moniki Adamczyk — Garbowskiej pt. „Papusza i inni”, o party na omówieniu książek Jerzego Ficowskiego. W naszej pamięci ta cygańska poetka zapisała się na trwałe, ale szkoda, iż Ficowski nie wyraził zgody, aby Gorzowskie Towarzystwo Kultury zajęło się opracowaniem książki jej poświęconej. Papusza jest własnością polskiej kultury, a nie osobistym bibe lotem znanego cyganologa.

**WÓDKA I INWENCJA.** 15 listopada br. w dniu spotkania Marka Kotańskiego na warszawskim Torwarze z ludźmi o poglądach zdecydowanie antyalkoholowych, przeczytaliśmy w „Dialogu” (nr 7) felieton Tadeusza Nyczka, zatytułowany „W miejscu pracy”. Dwóch ludzi teatru rozmawia o aktorstwie. „Napiliśmy się wódki. W trakcie tej zba wionej czynności gospodarz sformułował kilka obserwacji na użytek mój i nie tylko” — pisze autor. Zagrychą była herbata. Oto model polskiego picia wódki.

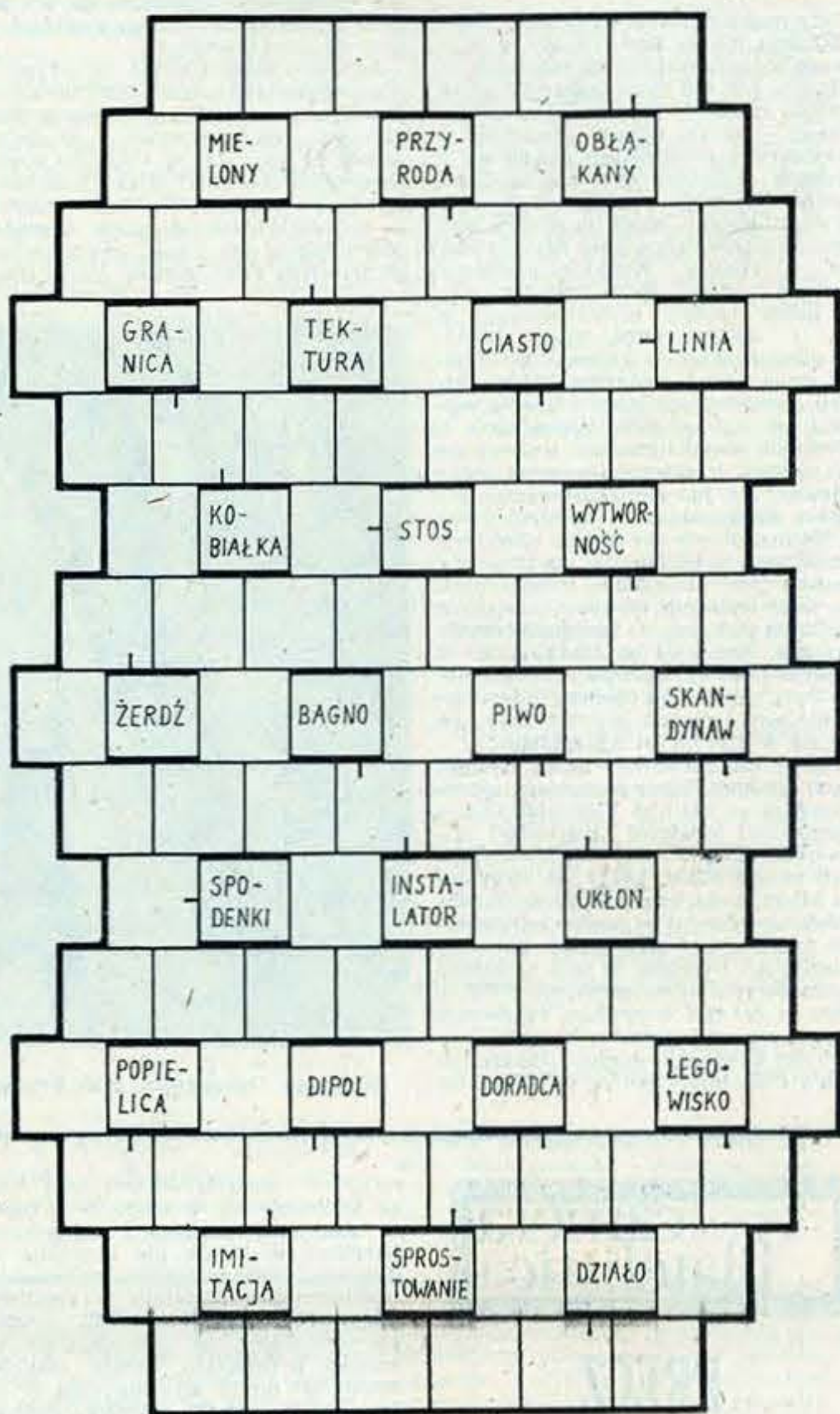
**UZUPEŁNIENIE.** Te refleksje uzupeł nia w tym samym numerze „Dialogu” Michał Radgowski, przytaczając w felie tonie „Drzwi polskie” taką niby to anegdotę: „Pewna starszuszka szamotała się z ciężkimi drzwiami do delikate sów, za którymi były „markizy” i „Cio ciosan”. Serce nie wytrzymało i umar ła. Jeszcze jedna ofiara na polu łaczącej się bitwy o konsumpcję”. Dobrze, że nie o konsumpcję alkoholu.

**KRYTYCZNIE O DRZONKOWIE.** W wiadomościach sportowych głównego wydania dziennika TV (10 listopad br.) podano, iż hale sportowe oraz basen Ośrodka Pięcioboju w Drzonkowie świecą pustkami a tymczasem dzieci z pobliskiej szkoły podstawowej nie mają gdzie rozwijać swej sprawności fizycznej. Wiadomość podano za „Rzeczpospolitą”. Już następnego dnia dzien nikarz z Telewizji przekazał odpow iedź dyrektora Ośrodka, zamieszczoną na półmetrowym co najmniej papierze teleksowym. W związku z tak długim wyjaśnieniem, nie mógł wyjaśnić, jakie stanowisko ostatecznie zajęli gospodarze Drzonkowa. Taka metoda odpowie dzi na krytykę bardzo się nam podoba.

**GDZIE CI MĘŻCZYŹNI?** Krystyna Zielińska w dyskusji pt. „Koncert na dwa głosy” („Przegląd Tygodniowy” nr 45) zastanawia się: „Jak wygląda dzień w przeciętnej polskiej rodzinie? Wydaje się setki poleceń, a rozmowy sprowadzają się do pytań: wykupiłeś? załatwiłeś? odebrałeś? byłeś? Mężczyźni przestali być mężczyznami. Dom prowa dzą dwie zaradne kobiety, z których jedna jest — biorąc pod uwagę płeć — mężczyzną”. Dobrze jest więc mieć samotnego sąsiada, o odpowiedniej kon dycji.

**ROCZNIKI ICH MAGNIFICENCJI.** „Przegląd Tygodniowy” (nr 45) w pu blikacji „Płaszcz z gronostajów” prze kazuje interesujące informacje o rek torach wyższych uczelni w kraju, któ rzy średni wiek wynosi 54 lata. Prof. Kazimierz Bartkiewicz, rektor zielonogórskiej WSP ma lat 56, jest członkiem PZPR, specjalizuje się w historii nowożytnej Polski i historii powszechnej. W takim samym wieku jest rektor Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej w Warszawie — prof. Karol Poznański. Najmłodszym rektorem wyższych szkół pedagogicznych w kraju jest prof. Stanisław Kawula z Opola (48 l.), naj starszym — prof. Kazimierz Nowak z Bydgoszczy i prof. Hieronim Rybicki ze Słupska (po 62 l.). Jeśli chodzi o poli techniki i wyższe szkoły inżynierskie, to rektor WSI w Zielonej Górze, prof. Marian Eckert ma lat 55, jest członkiem PZPR, specjalizuje się w dziedzi nie historii. Najmłodszym rektorem tego typu uczelni w kraju jest doc. Jan Misiak z Radomia (45 l.), najstarszym — prof. Władysław Muszyński z Krakowa (67 l.).

**KARTY NA STÓŁ.** Stała felietonistka „Tygodnika Powszechnego” Józefa Hen nelowa w 45 numerze pisma zdobyła się na szczere wyznanie: „Dziś ponie dziełek, a więc felieton był gotowy: złośliwy, czepiający się i mający za złe, jak przeżwanie”. Czyżby nadszedł czas pokuty?



WIROWKA PANORAMICZNA

Oprac.: Wiesław Pyżewicz

Kierunek wpisywania wyrazów prawoskrętny.

Za bezbłędne rozwiązanie wirówki roz losujemy nagrodę książkową wartości ok. 900 zł. Rozwiązania prosimy nadsyłać w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru; na kopercie prosimy na kleić zamieszczony obok kupon.

Nagrodę książkową wartości ok. 900 zł otrzymał p. Ryszard Czaja, ul. PZPR 72/1, 68-300 Lubsko. Gratulujemy.

ROZWIĄZANIE WIROWKI Z NR 22:

Spalanie, palarnia, infantka, panterka, Janikowo, paranoja, rasistka, minister, Nowowola, kanonada, palisada, malini ca, samowola, Kasandra, draparka, kramarka, erotoman, Andersen, redaktor, klekotka.



JAN MUSZYŃSKI — dyrektor Muzeum Ziemi Lubuskiej



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA